



14 Rok XVI
(803)

CENA 1.50 ZŁ

8. 4. 73



Odpowiedzi szukaj na stronie 5

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

Do ujęcia Rio Guayas wpłynęliśmy w pełni „bananowych żniw”. Trzeba było jednak rzucić kotwicę w muliste dno i kilka dni czekać na wolne miejsce przy kei. Mimo nowoczesnego wyposażenia nabrzeży port guayaquiliński nie jest w stanie wchłonąć statków, które zjawiają się wtedy po to bogactwo Ekwadoru.

MAREK REGEL

ELDORADO

Gdzie okiem sięgnąć otaczała nas soczysta zieleni, rzadki omen na zachodnim wybrzeżu Ameryki Południowej. Szybki nurt wody nie pozwalał jednak zbliżyć się do niej motorówką. Chłonęliśmy ją więc wzrokiem, wracając w myślach do upalnych chwil sprzed tygodnia, kiedy to w małym peruwiańskim porcie Pisco ładowano na statek mączkę rybną. Po dziesięciu dniach sterzenia w tej dziurze na pustyni Atacama, największym naszym marzeniem było właśnie ujrzeć odrobinę zieleni i poczuć chłodny, wilgotny powiew wiatru.

Czekała nas tu inna jeszcze atrakcja. Natychmiast po rzuconiu kotwicy podплыnęły pod burtę łódki Indian Otavalos. Przywiozli na sprzedaż jaskrawo kolorowe i pasiaste poncze, czyli coś w rodzaju peleryn utkanych z wełny lam. Wszyscy, wyprostowani jak struna, małomówni, wyglądali jak chodzące pomniki. Jeden z nich, młody i o obnażonym torsie, przyniósł ze sobą... dwie głowy ludzkie. Trzymając za włosy potrząsał nimi i proponował

(Dalszy ciąg na str. 9)

TAJEMNICA TWIERDZY KŁODZKIEJ

30 lat temu (II)

ADAM BIENKOWSKI

Lato 1944 roku nie było przychylne dla Niemców. Przesławne łanie jakie nieustannie otrzymywali na froncie wschodnim, zamach na Hitlera i wreszcie wybuch powstania warszawskiego, wszystko to przyspieszyło ewakuację z Łodzi fabryki AEG – kluczowego zakładu zbrojeniowego. W ciągu sierpnia i do połowy września cały park maszynowy został przeniesiony na Dolny Śląsk do Kłodzka i umieszczony w kazamatach tamtejszej twierdzy.

Łodzianie „zawojowali” Kłodzko już po kilku dniach. Już na kilka dni przed przybyciem pierwszych transportów Polaków, miejscowi hitlerowcy rozpuścili wieść, że do Kłodzka przybywają „Polnische Kriminalisten”. Ostrzegała ludność, by nie nawiązywała żadnych stosunków z tym „roboczym bydłem”, stojącym na najniższym szczeblu rozwoju, brudnym i często zawszonym. Na nic to się nie zdało. Łodzianie (a przede wszystkim łodzianki) zabrali swe najlepsze odzienie i już w pierwszą niedzielę główna ulica miasta – obecnie Wojska Polskiego – niewiele różniła się od Piotrkowskiej. Niemcy zbaranieli. Zamiast obdartych brudasów ujrzeli schludnie ubranych młodych ludzi, zachowujących się poprawnie, ba do tego z taką dumą noszących fioletową literkę „P” w złotym rombie – jakby to było jakieś zaszczytne odznaczenie.

(Dalszy ciąg na str. 4)

JERZY URBANKIEWICZ

ALLACH, LURCAT I KONDRATIUK

Syryjczycy są pobożni. Jednakże Allach nie okazał zbyt wielkiego zainteresowania ich losem, skoro w życiu doczesnym wystawił ich na ciężkie próby, skutkiem których naród ten należy raczej do niezbyt zamożnych. Długo nad tym myślał pewien dyrektor departamentu w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego tego kraju, aż wpadł na następujący pomysł.

Naród jest biedny – stwierdził – ale pobożny. A pobożny mahometanin modli się na dywanie. Nakazu tego w Syrii nie przestrzegają, bowiem produkcja dywanów poszła w zapomnienie. Gdyby do niej wrócić, wynikłyby z tego dwie korzyści: po pierwsze – nakazy Koranu byłyby wykonywane bardziej precyzyjnie, po drugie – wielu biednych ludzi znalazłoby pracę.

(Dalszy ciąg na str. 7)

DANUTA JANISZEWSKA – szwaczka z Zakładów Przemysłu Dzwonarskiego „Iwona”, zastępca członka Komitetu Dzielnicowego PZPR – Śródmieście, JADWIGA NIEWIADOMSKA – tkaczka z Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej, sekretarz POP, członek Komitetu Zakładowego PZPR i MARIA ZDROJEWSKA – szlifierka z Wytwórni Sprzętu Motoryzacyjnego „Delta”, członek Egzekutywy Komitetu Dzielnicowego PZPR – Bałuty, delegatki na XVII Łódzką Konferencję Partyjną mówią w redakcyjnej rozmowie o powstaniu sprawy ludzi pracy.

XVII Łódzka Konferencja Partyjna nie tylko oceniła dotychczasowe wyniki łódzkiej organizacji partyjnej, to, co zmieniło się w mieście, ale nakreśliła też program dalszych przemian, postawiła kolejne zadania niezbędne w realizacji przebudowy i unowocześnienia Łodzi. Aby osiągnąć te cele trzeba pracować lepiej i wydajniej, trzeba też nieustannie poprawiać warunki pracy i życia mieszkańców Łodzi. Jaka jest w tym rola i możliwości organizacji partyjnych dużych zakładów pracy? Jakie są najbliższe potrzeby? Odpowiedź na te pytania była tematem rozmowy z delegatkami, jaką przeprowadziliśmy w redakcji „Odgłosów”.

TEKST ROZMOWY PATRZ STR. 3

PLASTYKA

Strony 6 i 7



HELENA STRZYŻ-GARBOŁIŃSKA – „Pejzaż łódzki” (olej)

WITAMY ŁÓDZKĄ KONFERENCJĘ PARTYJNĄ

Kiedy ten numer naszego pisma dotrze do rąk Czytelników do XVII Łódzkiej Konferencji Sprawozdawczo - Wyborczej pozostanie trzy dni. Nie będzie jednak wielkiej przesady jeśli powiem, że Konferencja rozpoczęła się praktycznie już w ubiegłym tygodniu. Mam tu na myśli spotkania konsultacyjne delegatów organizacji dzielnicowych, spotkania środowiskowe oraz konsultacje w 24 największych zakładach Łodzi.

Potrzeba i pożytek takich spotkań są oczywiste. Sama Konferencja będzie trwać tylko jeden dzień, a więc musi być odpowiednio przygotowana, by najwyżej partyjne gremium Łodzi przebiegało sprawnie i z największą korzyścią dla prawidłowego wytyczenia zadań na lata 1973-74. Spotkania delegatów i aktywność partyjną pozwolą również na rozszerzenie forum dyskusji poza trybunę Konferencji, na zgłoszenie większej ilości wniosków i postulatów, wyrażenie opinii o przedsta-

wionych materiałach, bądź ich uzupełnienie.

Dorobek z jakim przychodzi na Konferencję Łódzka organizacja partyjna jest znaczny. Takie są odczucia członków partii i taka jest wymowa liczb z bilansu działania za dwa ubiegłe lata. W roku 1972 produkcja globalna łódzkiego przemysłu w stosunku do roku 1970 wzrosła o 13,4 proc., wydajność pracy o 9 proc., średnia płaca o 11,8 proc. Dzięki akcji „20 miliardów” uzyskano dodatkową produkcję wartości 1855 mln zł (włącznie drogą wzrostu wydajności pracy). W latach 1971-72 przemysł łódzki wzbogacił się o nowe obiekty, m. in. ZPDz. „Kalina” i Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów”.

W efekcie dwuletniej realizacji programu rozwoju i modernizacji Łódź otrzymała 50 426 izb, co stanowi 36 proc. planu 5-letniego. Wybudowano również 6 szkół podstawowych, 8 przedszkoli, 4 żłobki, 2 domy opieki społecznej o 300 miejscach. W roku bieżącym

zostanie przekazane do użytku przeszło 28 tys. izb. Dolega końca budowa pierwszego etapu wodociągu Sulejów - Łódź, zostanie ukończonych wiele inwestycji przemysłowych.

Opracowany i zatwierdzony został perspektywiczny plan przestrzennego zagospodarowania Łodzi do roku 1990, a elementy tego planu na lata 1976-80 znajdują się w trakcie szczegółowych opracowań. Pozwoli to w przyszłości uporządkować budownictwo mieszkaniowe i przemysłowe, kompleksowo rozwiązać kwestie miejskiej infrastruktury. Opracowano założenia układu komunikacji miejskiej z uwzględnieniem budowy autostrad, kolei obwodowej, linii średnicowej itp. nowocześniejszych rozwiązań. Gospodarka miejska, w sposób tak bezpośredni decydująca o warunkach życia łodzian, może wykazać się istotnymi osiągnięciami. W latach 1971-72 miasto otrzymało 43 km sieci wodociągowej, 30 km sieci kanalizacyjnej, nowe ujęcie wody, 28 km sieci gazowej, 53 km sieci

ciepłej. Linie tramwajowe przedłużono o 3,6 km, autobusowe o 38 km. W ub. roku tabor MPK powiększył się o 41 wozów tramwajowych i 127 autobusów. Przybyło 70 km ulic o ulepszonej nawierzchni. Ten postęp nie jest jeszcze na miarę potrzeb społecznych, ale świadczy o konsekwentnym realizowaniu przyjętego programu.

Przeglądając w ten sposób przedstawione delegatom materiały można w każdej dziedzinie społeczno-gospodarczego życia miasta odnotować znaczne postępy. Wymowa statystyki jest jednoznaczna. Od dwóch lat weszliśmy na drogę wszechstronnego, intensywnego rozwoju. Rzecz tylko w tym, by jeszcze bardziej przyspieszyć tempo, bo stać nas na więcej i lepiej. Świadczy o tym coraz większa aktywność produkcyjna i społeczna klasy robotniczej, inteligencji i wszystkich ludzi pracy.

Liczą się nie tylko osiągnięcia materialne. Nauka, oświata, kultura — stały się

problemami pierwszoplanowymi. Jest to istotne przewartościowanie pojęć, świadomość sprzężenia i wzajemnego uwarunkowania materialnego i duchowego rozwoju społeczeństwa. Podkreślają to stwierdzenie np. coraz lepsze efekty integracji nauki z praktyką, umowy między uczelniami a zakładami pracy przynoszące korzyści jednej i drugiej stronie. W Łodzi takich umów zawarto w ostatnich latach ponad sto. I ocenia się, że łódzkie placówki naukowe stać na dalszy, większy udział w procesie unowocześniania i intensyfikacji życia gospodarczego i społeczno-kulturalnego miasta.

Życie kulturalne miasta! To problem zarówno bazy materialnej, tworzenia nowej i właściwego wykorzystania już istniejącej, problem upowszechniania dóbr kulturalnych i sprawa awansu kulturowego mieszkańców. To problem twórczego, wynikającego ze związków z życiem, współczesnością — działania samych twórców. Teatr, film,

literatura, plastyka, krytyka artystyczna — to składowe elementy życia ideowo-artystycznego miasta. Na spotkaniu środowiskowym mówili o tym Wiesław Garboliński, doc. Stanisławski, red. Szuster z TV, i inni, zwracając uwagę na tworzenie odpowiedniego klimatu dla środowisk twórczych, potrzebę kompleksowego działania na polu kultury, konieczność bardziej dynamicznej pracy POP w środowiskach twórczych.

XVII Konferencja łódzkiej organizacji partyjnej odbywać się będzie w atmosferze powszechnego zainteresowania całego społeczeństwa, gdyż podjęte decyzje decydujące będą o przyszłości miasta, a więc nas wszystkich. I będą realizowane w atmosferze wzajemnego zaufania i szczerości, w ścisłej więzi z klasą robotniczą i całym społeczeństwem.

OWOCNYCH I TWÓRCZYCH OBRAD, TOWARZYSZE DELEGACI!

ODGŁOSY

Przynajmniej dwa razy do roku zwykliśmy mawiać: „święta, święta i po świętach”. Tym razem święta nie było, nasze piętnaście lat obchodziliśmy skromnie, starając się dać Czytelnikom lepsze pismo niż cieszyć się z tego, że jest ono jeszcze nastolatkiem. W sali Klubu Międzynarodowej Książki i Pras, spotkaliśmy się z Czytelnikami, aby rozdać tegorocznym „Łodzianom Roku” pamiątkowe talony. Jak już informowaliśmy otrzymali je: prof. Stefania Skwarczyńska, Bogusław Sochnański — aktor i Leon Górnicki — pisarz.

Na spotkanie przyszli laureaci czterech poprzednich plebi-

scytów, bo to już piąty raz wybraliśmy „Łodzian Roku”. Z okazji tego „mini jubileuszu” otrzymaliśmy pamiątkowe albumy. Przy tej okazji przekonaaliśmy się, że jest już spora garstka ludzi, którzy z woli Czytelników i z inicjatywy pisma zostali uhonorowani mianem „Łodzianina Roku”. A że plebiscyt ten będziemy powtarzać, to i Odgłosowa rodzina Łodzian stale będzie rosnąć.

Na tym spotkaniu uhonorowaliśmy też Czytelników, którzy głosowali na naszych kandydatów i dla których wylosowaliśmy nagrody: radio tranzystorowe, aparat fotograficzny, zegarek na rękę i książkę. Nie wszyscy mogli zawiadzić się osobiście po odbiór nagród, bo — jak się okazało — w losowaniu uczestniczyli też Czytelnicy z innych miast, a nawet z Belgii. Nagrody wysłaliśmy im pocztą.

Spotkanie z Czytelnikami miało też część drugą. Wystąpili w niej poeci współpracujący lub pracujący w „Odgłosach”. Utwory swoje czytali: Janusz Skoszkiewicz, Tadeusz Chrościelewski, Jerzy Czarny, Józef Henryk Wiśniewski oraz nasi redaktorzy: Jerzy Wawrzak, Jerzy Wilmański, Andrzej Grun i Konrad Frejdlach, który rzecz całą prowadził, bawiąc się w konferansjera.

Wychodząc po tej imprezie, słyszeliśmy z ust naszych gości, że spotkanie się udało i szkoda, że redakcja nie robi częściej takich imprez. Bijemy się w piersi w poczuciu redakcyjnej winy i obieujemy sobie i Czytelnikom, że już niedługo pomyślimy o podobnej imprezie. Ot tak sobie, bez żadnej okazji.

Kwitując niniejszym nasz skromny jubileusz pragniemy podziękować tym wszystkim, którzy go dostrzegli i dali temu wyraz. Bardzo nam się podobała nasza redakcja w programie telewizyjnym. Okazuje się, że jesteśmy diabelnie pracowici i fotogeniczni. Serdecznie dziękujemy kolegom z LOT.

Dziękujemy również wszy-

stkim, którzy nadesłali depesze i listy z życzeniami, kolegom z gazet łódzkich, za życzenia przekazane na łamach ich gazet. „Express Ilustrowany” życzył nam w osobnym liście „dalszych sukcesów w pracy dziennikarskiej”. PP „Dom Książki” — „owocnej działalności dla dobra miasta i kraju”.

Serdeczne życzenia otrzymaliśmy m. in. od Krystyny Kondratuk — dyrektora Muzeum Historii Sztuki, a także laureata jednego z naszych poprzednich plebiscytów na „Łodzianina Roku”, „Dalszych sukcesów twórczych” — życzyło nam „Wydawnictwo Łódzkie” w osobach dyrektora M. Garkieckiego i naczelnego redaktora — Barbary Lis.

„Jubileuszowa grabuła od Kamieni” — napisali w telegramie koledzy z lubelskiej „Kamieni”.

Jeszcze raz wszystkim dziękujemy!

Był jubileusz i już po jubileuszu. Zaczęliśmy nowy, 16 rok istnienia pisma. Chcemy, aby był to rok pracowity, aby pismo nadal zmieniało się i stawało się bliższe ludziom.

ROBOTNICZA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„PRASA — KSIĄŻKA — RUCH”

PREZES

Do
Zespołu Redakcyjnego
Tygodnika „ODGŁOSY”

Łódź

Z okazji jubileuszu XV-lecia powstania Tygodnika „Odgłosy” przesyłam Zespołowi Redakcyjnemu Pisma oraz wszystkim jego Współtwórcom - w imieniu Zarządu RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz własnym - jak najserdeczniejsze życzenia i gratulacje. W ciągu piętnastoletniej działalności wniosły „Odgłosy” swój wkład w kulturalny i gospodarczy rozwój Łodzi i województwa łódzkiego.

Życzę Zespołowi Redakcyjnemu aby rozszerzył krąg Czytelników „Odgłosów”, aby pismo coraz lepiej służyło mieszkańcom robotniczej Łodzi i Ziemi Łódzkiej.

h. Łojasowski
Stanisław Łojasowski

Wkrótce powieść!

MINĘŁO 60 DNI od podpisania w Paryżu porozumienia o zaniechaniu działań wojennych w Wietnamie i przywróceniu pokoju. Z upływem tego terminu z terytorium Wietnamu Północnego wycofani zostali żołnierze amerykańscy oraz uwolnieni jeńcy. Po raz pierwszy od 100 lat na ziemi wietnamskiej nie ma obcych wojsk. Przed tym krajem otwiera się więc wielka szansa: znalezienia rozwiązań politycznych przez samych Wietnamczyków. W tym celu w Paryżu trwają rozmowy stron południowowietnamskich. Ich celem — przypomnijmy — jest powołanie do życia w ciągu kwietnia rady, która zorganizuje wybory.

Tymczasem w Wietnamie Północnym wciąż trwają starcia zbrojne, chociaż ich ilość nieco maleje.

W ub. tygodniu przed mikrofonami radia i kamerami telewizji amerykańskiej WYSTĄPIŁ PREZ. NIXON. Z triumfem zakomunikował on narodowi, że po raz pierwszy od 12 lat w Wietnamie nie ma wojsk amerykańskich, a wszyscy jeńcy wojenni znajdują się w drodze do domu. Przy okazji zganiał tych, którzy podnosili głos opozycji przeciwko jego polityce wietnamskiej, domagając się w minionych latach rychłego zakończenia wojny. Ich głos — mówił — był donośny i czasami wydawało się, że tak przemawia większość. Zdaniem Nixona — większość jednak opowiadała się przeciwko tym, którzy „doradzali pokój za wszelką cenę”.

Prezydent wykorzystał swe przemówienie, aby znaleźć poparcie społeczeństwa dla, jak się wyraził, „innej bitwy, która nie jest zbrojną batalią za granicą”. Jest to bitwa o budżet, przeciwko inflacji. Nixon przyznał, że ilekroć gospodyni amerykańska wyjdzie po zakupy — widzi, że ceny mięsa wciąż wzrastają. Poinformował, że wydał polecenie czasowego wprowadzenia limitów cen mięsa, ale nie może to być rozwiązaniem trwałym.

Uskarżał się następnie na Kongres, który domaga się większego budżetu niż przedstawiony przez niego. Zakomunikował, że wobec tych projektów ustaw zgłosił veto. „Gdybym

ZE ŚWIATA

tego weta nie postawił — mówił — zwiększone ceny i podatki załamałyby budżety rodzinne milionów Amerykanów”. Ujawnił zatem, że walczy z Kongresem i w tej walce liczy na poparcie społeczeństwa.

Następnie oświadczył, że przeciwstawił się redukcji budżetu wojskowego, chociaż są nalegania, aby postęp w dziedzinie pokoju miał swe odbicie w wydatkach na zbrojenia. Odrzucił też ideę jednostronnego zmniejszenia liczby wojsk amerykańskich w Europie.

Streszciliśmy najważniejsze fragmenty przemówienia Nixona, gdyż z nich wyłaniają się dalsze polityczne zamierzenia USA, a przede wszystkim wewnętrzne kłopoty. Nie zdarzało się przecież, aby prezydent USA musiał tylekroć w czasie swego przemówienia powracać do słowa: inflacja...

* * *

W naszej politycznej wędrówce po świecie zwróćmy teraz uwagę na te kraje, które ostatnio żywo interesują komentatorów światowych z powodu sytuacji wewnętrznej. Są to: Egipt, Turcja, Argentyna i Chile.

Przed kilku dniami obiegła świat informacja o reorganizacji GABINETU EGIPSKIEGO. Prezydent Sadat przyjął również funkcję premiera rządu. Jak oświadczył, decyzja ta jest wynikiem odkrycia spisku przeciwko rządowi. Podyktowana została też potrzebą „skumulowania odpowiedzialności” na obecnym etapie konfrontacji z Izraelem, która będzie kontynuowana i nasilana. W chwili, kiedy oddajemy komentarz do druku, nie ujawniono jeszcze składu gabinetu,

tu, mówi się jednak, że w nowym pozostanie tylko czterech poprzednich ministrów. Jak zmiana ta wpłynie na politykę Egiptu — dowiemy się z pewnością niebawem.

Inny z wymienionych krajów — TURCJA od 28 marca pozostaje bez prezydenta. Wygasta bowiem 7-letnia kadencja dotychczasowego prezydenta — Sunaya, natomiast nowy, mimo przeprowadzenia II tur głosowania, nie został wybrany. Źródłem głębokiego kryzysu politycznego trzeba szukać w przeszłości i roli, jaką od lat odgrywa w tym kraju armia. Generałowie, trzymający rękę na pulsie wewnętrznych wydarzeń w Turcji i ingerujący w nie, wystawili kandydaturę spośród siebie. Ale w tym właśnie momencie parlamentarzyści postanowili dać wojskowiemu naucek. Skutecznie zablokowali kandydaturę gen. Gurlera. Konflikt generalicja — parlament sparaliżował polityczne życie kraju.

Tymczasem w ARGENTYNIE prezydent-elekt — Campora przygotowuje się do objęcia urzędu szefa państwa, co nastąpi 25 maja. Te przygotowania — to przede wszystkim jego rzymskie konsultacje z Peronem. Służyły one określeniu głównych kierunków działalności przyszłego rządu oraz jego składu. Przed Argentyną otwiera się nowy etap.

CHILE natomiast zwróciło uwagę komentatorów z powodu reorganizacji rządu. Jej cechą jest przede wszystkim odejście ze składu gabinetu trzech generałów, którzy objęli teki ministerialne w listopadzie ub. roku. Wtedy prawica strajkiem próbowała sparaliżować życie kraju i udział wojskowych w rządzie wzmacniał jego pozycję. Dziś taka potrzeba już nie istnieje. Wybory umocniły pozycję Frontu Jedności Ludowej i generałowie nie muszą aktywnie uczestniczyć w życiu politycznym kraju. Nowy rząd składa się m. in. z sześciu socjalistów, trzech komunistów i trzech radykałów.

W. SŁAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

„ODGŁOSY”: — Na naradach, zebraniach organizacji partyjnych i związkowych, na spotkaniach organizowanych w przedsiębiorstwach zgłasza się wiele wniosków i postulatów dotyczących spraw miasta. Wnioski te kieruje się później do zainteresowanych instytucji. Czy załogi, od których wnioski i postulaty wypłynęły otrzymują na nie później odpowiedź, czy wiedzą o dalszych losach swoich propozycji?

DANUTA JANISZEWSKA: — Zaloga „Iwony” zgłosiła na przykład w niedawnym czasie pod adresem Rady Narodowej m. Łodzi 37 wniosków i 16 postulatów pod adresem związków zawodowych. Na wszystkie te wnioski otrzymaliśmy odpowiedź. Wiemy już jaki będzie ich dalszy los.

MARIA ZDROJEWSKA: — Myśmy mieli jeden bardzo ważny wniosek — poprawić dojazd do fabryki „Delta” leżącej dość daleko poza miastem. Zwróciliśmy się do MPK, aby można było przedłużyć trasę autobusu nr 73. I MPK postulat ten zrealizowało.

JADWIGA NIEWIADOMSKA: — My też mamy podobny wniosek. ZPB im. Armii Ludowej znajduje się — jak wiadomo — przy ulicy Pabianickiej. Nowe mieszkania dla załogi buduje się na Retkini. Dojazd fatalny. Trzeba teraz jechać około godziny i objechać prawie całe miasto. Postulujemy więc stworzenie połączenia bliższego i MPK zgadza się z tym, ale dopiero po oddaniu do użytku wiaduktów na ulicy Wróblewskiego.

D. JANISZEWSKA: — W styczniu tego roku otrzymaliśmy odpowiedź od MPK, że nasze postulaty w sprawie przedłużenia linii tramwajowych na Teofilowie i zwiększenia częstotliwości kursowania autobusów będą uwzględnione.

„ODGŁOSY”: — Zgłasza się również postulat pod adresem kierownictwa zakładu. Czy te są też równie szybko rozpatrywane i realizowane?

M. ZDROJEWSKA: — Różnie z tym bywa. W „Delcie” pracuje sporo kobiet. Jest to przemysł maszynowy. Mamy do czynienia ze smarami, opiłkami. Przepisy przewidują dla nas ciężkie obuwie robocze. Ale jest ono bardzo niewygodne. Szczególnie latem daje się we znaki. Postulujemy więc bardziej elastyczne potraktowanie przepisów i tam gdzie można zamiast tego obuwia na lżejsze. Mówi się o tym na każdym zebraniu, na każdej naradzie.

„ODGŁOSY”: — I z jakim skutkiem?

M. ZDROJEWSKA: — Jak do tej pory bez skutku. Wierzymy jednak, że osiągniemy swoje. Uwzględniono już na przykład nasze postulaty w sprawie zamiany odcieży roboczej. Do tej pory mieliśmy drelichowe fartuchy. Teraz mamy z włókien szlucznych, kolorowe i ładne.

D. JANISZEWSKA: — Ale za to duszno w nich w upa-

roku. Też liczymy na to, że po modernizacji będziemy mogli pracować bardziej wygodnie i — przede wszystkim — lepiej.

Niezależnie jednak od przygotowywanej modernizacji z inicjatywy organizacji partyjnej powstał program poprawy warunków pracy. My też mamy małe i ciasne szatnie. To oczywiście jeden z przykładów. W programie poprawy warunków pracy założono, że tam, gdzie można nowe szatnie uzyskać się różnymi sposobami, a na dalszą ich rozbudowę trzeba będzie poczekać do modernizacji.

Mamy też program rozwoju bazy wczasowej. Będziemy w tym roku mieli trochę więcej wolnych sobót. Trzeba więc pomyśleć o warunkach dla wypoczynku sobotnio-niedzielnego. A to wymaga takiej modernizacji ośrodków wypoczynkowych, aby mogły one pełnić swoją funkcję przez cały rok. I to już po części nam się udało. Na przykład nasi renciści mogą korzystać z wypoczynku przez cały rok, bo ośrodki są już do tego przygotowane.

ne cele; a w ZPB im. Armii Ludowej — tylko dla najlepszych.

D. JANISZEWSKA: — Dobra praca powinna być dobrane nagradzana. A przecież w każdej fabryce są ludzie, którzy pracują znacznie więcej niż muszą, są też tacy, którym nie chce się wiązać nawet z obowiązkami. „ODGŁOSY”: — W Łodzi przy każdej okazji przypominają się, że wśród pracujących przeważają kobiety. A przy

nie tylko coraz lepsze zaopatrzenie sklepów, choć to warunek podstawowy. To również sprawniejsza praca różnorodnych punktów usługowych. Wszyscy na nie narzekamy.

M. ZDROJEWSKA: — I słusznie. Wystarczy, aby w domu zbiła się szyba, a już można przekonać się o tym, że to nie są usługi dla ludności, ale ludność dla usług. Szklarz dla jednej szyby nie

trzenia miasta, na stan usług na inne sprawy, które mają ułatwiać życie łodzianom? **D. JANISZEWSKA**: — Na przykład przez radnych. Przecież w każdym zakładzie pracy są ludzie, którzy działają również na zewnątrz. Oni są zobowiązani do informowania macierzystej organizacji partyjnej o swojej pracy i ta organizacja może określać ich zadania. Wśród tych ludzi są i radni. „ODGŁOSY”: — U was też?

LEPIEJ PRACOWAĆ, LEPIEJ ŻYĆ

tej okazji, że kobiety muszą — niestety — pracować niekiedy nawet i na trzy etaty.

M. ZDROJEWSKA: — Jeden zawodowy, drugi — społeczny, a trzeci — domowy. „ODGŁOSY”: — Niektórym wystarczą już dwa etaty, aby czuły się zmęczone. Co robią poszczególnie zakłady, aby pomóc pracującej kobiecie?

J. NIEWIADOMSKA: — Myślę, że wszystko, co robimy ma na celu ulżenie w pracy, aby można było dawać

przyjdzie do domu. Trzeba z oknem iść do szklarza.

J. NIEWIADOMSKA: — Poprawiła się praca pralni miejskich. Jeśli pralnia jest blisko domu, to nie ma już kłopotów z praniem. Nawet już się nie opłaca prac same-

D. JANISZEWSKA: — Nie wszystkie pralnie jeszcze jednakowo dobrze pracują, ale prawdą jest, że pod tym względem znacznie się poprawiło.

M. ZDROJEWSKA: — Tak, ale dziś już nie wystarczy się tylko, z tego, że w jakiejś dziedzinie pracują lepiej. Niechże myślimy, jak pracować jeszcze lepiej. Czy na przykład nasze pralnie nie powinny zacząć docierać z ruchomymi punktami do dzielnic peryferyjnych? Albo, czy po bieliznę nie powinny przyjeżdżać do domu i do domu gotowe pranie odwozić? Przecież tak jest w wielu krajach na świecie. Czy nas na to już nie stać?

„ODGŁOSY”: — Trudno się z tym nie zgodzić.

D. JANISZEWSKA: — Albo proszę kupić sobie elanobawelnę i spróbować dać ją do uszycia. Nie przyjmie ani spódnicy, ani krawiec prywatny. Z elanobawelny się nie szyje, bo nie ma odpowiedniej podszewki, albo nici, albo czegoś jeszcze. Po co w takim razie elanobawelnę sprzedaje się w sklepie?

„ODGŁOSY”: — Moglibyśmy dorzucić jeszcze sporo do listy powszechnych pretensji pod adresem przedsiębiorstw usługowych. Jednak nie o to chodzi. Spróbujmy zastanowić się nad tym, co można w tej sprawie zmienić? Jaka jest rola organizacji partyjnej i przez kogo może ona wpływać na zmianę zaopa-

D. JANISZEWSKA: Tak, mamy dwie radne: Marię Galię i Anielę Poradę.

„ODGŁOSY”: I pomagają wam?

D. JANISZEWSKA: — Radzą jak mogą, ale nie zawsze są w stanie rozwiązać wszystkie nasze kłopoty.

J. NIEWIADOMSKA: — Wiele zależy od ludzi. W ZPB im. Armii Ludowej radnym jest Jan Górski. Człowiek to energiczny i uparty. Swoją działalnością wiele już zrobił dla Rudy Pabianickiej.

M. ZDROJEWSKA: — Wiele zależy od człowieka, od jego umiejętności postępowania, uporu, zdolności, ale przecież nie można tylko na tym opierać realizacji słusnych postulatów. Przecież nie robimy tego wszystkiego tylko dla siebie, ale po to, aby w całym kraju było lepiej. Pracujemy dla nas wszystkich. I jeśli chcemy na przykład, aby lepiej działały przedsiębiorstwa usługowe, to też nie tylko dla siebie, ale dla nas wszystkich.

Mamy w swoich organizacjach członków partii, którzy są, we władzach dzielnicowych, w łódzkiej instancji, są radnymi. Od nich trzeba wymagać, im trzeba dawać zadania i skrupulatnie sprawdzać, jak się z nich wywiązują.

J. NIEWIADOMSKA: — Organizacja partyjna powinna więcej uwagi przywiązywać do własnych uchwał i postanowień.

D. JANISZEWSKA: — Kontrolować, jaki robi się to, do czego sami zobowiązaliśmy się, albo zobowiązaliśmy kogoś spośród nas. Konsekwentnie domagać się realizacji tych postulatów, które uznano za realne, możliwe do spełnienia i do spełnienia których zobowiązano się.

„ODGŁOSY”: — Przedstawiliśmy tylko kilka spraw, jakimi interesują się delegaci na XVII Łódzką Konferencję Partyjną, o których rozmawiają między sobą i z ludźmi wspólnie pracującymi. Większość z tych spraw, w innej już formie, będzie przedmiotem obrad najwyższej władzy łódzkiej organizacji partyjnej. W toku obrad powstanie program, którego realizacja pozwoli nam lepiej pracować i wygodniej żyć.

Rozmowę prowadzili i zanotowali:
BOGDA MADEJ
LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Na zdjęciu od lewej: D. JANISZEWSKA, M. ZDROJEWSKA i J. NIEWIADOMSKA

Fot. A. Wach

których przedsiębiorstwach istotnie nie ma miejsca na urzędzenia socjalne. Sytuacja zmieni się dopiero po modernizacji przewidzianej dla wielu fabryk w programie unowocześnienia i rozbudowy Łodzi.

D. JANISZEWSKA: — Jednym z najważniejszych postulatów załogi „Iwony” jest utworzenie przedsiębiorstwa. Oddziały „Iwony” rozrzucone są po całym mieście, mamy stare, zniszczone pomieszczenia, a więc i bardzo trudne warunki pracy. I wszystko to można będzie zmienić, kiedy zacznie się budowa nowych pomieszczeń dla „Iwony”, które — jak nas zapewniali władze branżowe — mają powstać w projektowanej dzielnicy przemysłowej Srebrna.

J. NIEWIADOMSKA: — Modernizacja ZPB im. Armii Ludowej ma zacząć się w trzecim kwartale bieżącego

„ODGŁOSY”: — Każde przedsiębiorstwo dysponuje przecież odpisami z funduszu zakładowego, przeznaczonymi na rozwój bazy wycieczkowej dla załogi.

D. JANISZEWSKA: — W „Iwonie” fundusz ten wzbogacany jest sumą potrącen od premii tych, którzy źle pracowali, bumelowali i którym — zgodnie z regulaminem — należy się o ileś tam mniej „trzynastka”.

J. NIEWIADOMSKA: — A nasza załoga zdecydowała inaczej. Część funduszu na rozwój bazy wycieczkowej dla załogi, to stała pozycja, również zagwarantowana regulaminem podziału. Natomiast kwotę potrącen przeznaczymy do ponownego podziału, ale tylko między tych, którzy wyróżnili się spośród innych swoją pracą i postawą.

M. ZDROJEWSKA: — To ciekawe rozwiązanie. W „Delcie” potrącenia idą na ogół-

większą produkcję, przy mniejszym wysiłku. Ale wiele spraw leży poza możliwościami zakładu. Ot choćby w naszym przypadku. Fabryka znajduje się poza miastem. Część naszej załogi dojeżdża spod Łodzi. Część mieszka w Łodzi, ale jak już mówiłam coraz więcej na Retkini. W pobliżu fabryki nie ma wystarczającej ilości sklepów. W nowym osiedlu — tak samo. Trzeba robić wyprawy do śródmieścia po zakupy. Co możemy zrobić w tej sytuacji? Kiosk w zakładzie sprzedaje tylko porcje śniadaniowe. Nieustannie więc zwracamy uwagę władzom miasta i dzielnicy przede wszystkim, na niedostatek w rozmieszczeniu sklepów na Górnej.

D. JANISZEWSKA: — Na Widzewie pod tym względem też nie jest lepiej.

„ODGŁOSY”: — Ale pomoc kobiecie pracującej to

kowe. Nakładem tejsze oficyny ukazał się ostatnio 9 Zeszyt wydawnictwa — „Zabytki Architektury i Budownictwa w Polsce — obejmujący teren Łodzi i województwa łódzkiego. Wartość tej publikacji, będącej w swym założeniu spisem obiektów zabytkowych z terenu naszego miasta i województwa, jest, jak się wydaje, oczywista; prace tego typu znaleźć się powinny nie tylko na półkach bibliotek, lecz także winny być wykorzystywane i używane przez różne szczeble administracji terenowej.

Wielkie zdziwienie budzi natomiast wykonanie omawianej pracy. Zajrzyjmy więc na strony 3—8, zawierające spis zabytków miasta Łodzi. Pod nr 14 widzimy tu dawny ratusz, obecnie Archiwum Państwowe, pl. Wolności 1, zaklasyfikowany jako zabytek gr. II. Natomiast na str. 8, pod nr 191, widzimy także ratusz, lecz już jako zabytek gr. I. Tak więc w świetle owej cennej pracy posiadamy w Łodzi dwa ratusze. Cóż, od obfitości głowa nie boli, nie boli także dawnego właściciela pałacu Stelertna, ul. Piotrkowska 272 ab, który to pałac w zestawieniu pojawia się dwukrot-

nie pod nr 52 i 167. Również budynek przy ul. Piotrkowskiej 74 występuje pod nr 16 jako budynek biurowy byłej firmy Geyera, natomiast pod nr 64, jako pałacyk Towarzystwa Akcyjnego byłej firmy Geyera. Pałacyk przy ul. Piotrkowskiej 77 po raz pierwszy pojawia się jako zabytek gr. II (nr 25), po raz drugi jako zabytek gr. III (nr 65). Tą prostą metodą autorzy omawianej pracy powiększają liczbę zabytków Łodzi.

Istnieje jednak jeszcze inna metoda, otóż np. domy stojące na rogach ulic uwidocznione są dwa razy i tym to sposobem dom przy ul. Piotrkowskiej 13 raz figuruje jako zabytek gr. II, innym razem jako zabytek gr. III. Dwa przytoczone tu sposoby nie wyczerpują jednak możliwości autorów omawianej pracy. Spójrzmy na str. 8, gdzie pod nr 176 czytamy: „Dom wraz z zabudowaniami fabrycznymi i kominem fabrycznym, ul. Przejazd 10, drewn., 2 poł. XIX w.” w grupie IV. Natomiast na tejsze stronie pod nr 184, spotykamy w grupie III: „Dom, ul. J. Tuwima 10, drewn., XIX w.”. Cóż, można i tak, szkoda tylko, że nie zgadza się nawet kategoria zabytków — a może to tylko kamu-

Z innych ciekawych danych

spotykamy w spisie zabytki usytuowane przy ulicach Poludniowej ul. Przejazd, których próżno by szukać na aktualnym planie Łodzi. Interesujące potraktowane jest też kościół par. p.w. św. Wojciecha, ul. Rzgowska 240. Nie dość, że jest on datowany na początek XIX w., to autorzy z chwalebna ostrożnością (znak zapytania) sądzą, że projektował go Józef Pius Dziekoński. Znak zapytania jest tu jak najbardziej na miejscu, gdyż o pracach J. P. Dziekońskiego popełnionych w korycie nie wiadomo, wiadomo natomiast, że urodził się on w roku 1844.

Przyznam się szczerze, że po przeczytaniu pierwszych 6 stron straciłem siłę i ochotę na przestudiowanie całości dzieła. Rzućmy za to okiem na tablicę powrócił mi humor, gdyż gwoździł pocieszenia zmartwionego czytelnika, są one zamieszczone „do góry nogami”. Myślę, że to wystarczy, lecz przyznam się, że jako długoletni mieszkaniec Grodzu nad Łódką, czuję się tym wszystkim nieco zaniepokojony.

Wydaje się, że publikacja ta nabiera szczególnych rumieńców w zestawieniu z przygotowywanymi obecnie obchodami 550-lecia powstania Łodzi i 150 rocznicy powstania Łodzi przemys-

łowej. Doceniając w pełni troskę autorów pracy o pomnożenie ilości obiektów zabytkowych znajdujących się na terenie Łodzi, dziwię się jednak nieco, że

roll propagatora tych tendencji podjął się PWN.

L. K.
(Nazwisko i adres znane redakcji).



Jerzy Cichecki — grafika

Listy do Redakcji

NOWE ZABYTKI ŁODZI

Różnymi metodami młodzież, a nie zawsze młodzież, epatowała lub tylko usiłowała epatować zacnych konsumentów czarnego na białym. Młodym ludziom wybaczają się jednak wiele, a różnorakie próby zadziwienia czytelników coraz rzadziej odnoszą pożądany skutek. Dość „swardyjską” próbę wstrząśnięcia czytelników zaszerwowała nam niedawno firma ogólnie ceniona i znana — Państwowe Wydawnictwo Nau-

TAJEMNICA TWIERDZY KLÓDZKIEJ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Był to okres spontanicznej, pełnej solidarności działalności wietosnej rzeszy robotników — robotników oraz niewielkiej grupy inżynierów i pomocniczych sił pracujących w administracji lub księgowości. I chyba ta solidarność sprawiła, że już w dwa tygodnie po przybyciu do Kłodzka powstała konspiracyjna gazeta i do tego satyryczna, pod tytułem „Pchla”. Ogółem ukazało się jej 16 numerów w nakładzie 36 do 50 egzemplarzy. Była pisana na maszynie, kilkakrotnie powielana przez kłakę i każdy jej numer, ilustrowany rysunkami, niecierpliwie oczekiwany był przez czytelników. Do końca istnienia fabryki, tzn. do marca 1945 r. ani jeden numer pisma nie wpadł w ręce Niemców.

„Pchla” urodziła się w październiku 1944 roku, pierwsza chyba satyryczna gazeta polska na naszych Ziemiach Zachodnich. Nemał wшысь jej redaktorzy są dziś w Łodzi. Wacław Koszański pracuje w Woj. Komisji Planowania, Jan Linke w Prez. WRN, Barbara Pawłowska (obecnie Wąsowicz) jest wiceprzewodniczącą Prez. RN m. Łodzi, Władysław Olszewski — dyrektorem jednej z fabryk, Artur Malinowski — konstruktorem w biurze projektowym, Eugeniusz Nowicki — gra w orkiestrze, Polikarp Goździk pracuje w „Wodorolu”. A propos Polikarpa. Przyjaźniłem się z nim w Łodzi już od początku okupacji i to imię tak mi się spodobało, że ochrzciłem nim postać rysunkową, która narodziła się w Kłodzku prawie przed 30 laty. Byłem „redaktorem naczelnym” „Pchli” i jednocześnie wykonywałem rysunki.

„Pchla” jak tylko mogła, starała się dokuczyć hitlerowcom, celowała też w robeniu im kawałów. Na Nowy Rok 1944/45 Niemcy nie dali do baraków opatu. W gazecie ukazało się ogłoszenie:

„Niniejszym rząd Kłodzki ustanowił podatek „sztabowy” wynoszący jeden brykiet dziennie (z fabryki) oprócz światła i niedzieli”.

Apel poskutkował. Jeden brykiet łatwo było wyntęsić i na Nowy Rok w barakach było ciepło.

Łódzka brać „kłodzkowa” skutecznie rozwiązała problem żywnościowy. Gdy w fabryce co rano „część” zaczęto przyrządzać „wasczerzupki”, padło hasło produkcyjnego bimbura na sprzedaż. Precyzyjne maszyny do toczenia części do okrętów podwodnych lub samolotów wykonywały z lekkiego duraluminium aparaty do pędzenia bimbura — istne cacka. Iona grupa wystarała się o melasę cukrową. Jeden tylko problem nie został rozwiązany. Gdzie przechowywać zaciek? W barakach nie można, bo zbity zaciek byłby rewizje. W lochach fabrycznych za zimno, na mieście u znajomych Niemców też nie, bo to śmierdziało jak sto diabłów. I tu redakcja pomogła, oczywiście już nie na lamach, tylko drogą porady słownej: — „Rozlejcie to w butle 25-litrowe i oddajcie do przechowania dworcowej”.

Pomysł okazał się niezły, tylko że do jednorazowego zastosowania. Dwie butle opatrzone znakami fabrycznym AEG i pięknie wykaligrafowanym napisem po niemiecku „olejek eteryczny” zostały zdeponowane na dworcu. Dworzec „Glatz-

Hauptbahnhof” po dwóch dniach zaczął okropnie cuchnąć bimbrem. Zacier trzeba było szybko odebrać.

Polacy w Kłodzku zgromadzeni zostali w trzech punktach miasta. Największe było miasteczko barakowe, które powstało na rozległej polanie obok cmentarza i drogi prowadzącej do Kudowy. Kilka baraków stało na niezabudowanym placu przy dzisiejszej ul. Wandy, a część kobiet ulokowano w pawilonie sportowym na stadionie (piętra pawilonu sponętej w maju 1945 roku). Mimo dość znacznych odległości bez przerwy utrzymywana była stała łączność między poszczególnymi osiedlami. W baraku przy Georgstrasse w „sztabie” nr 10 mieszkało 16 Polaków — kilku inżynierów, dwóch ekonomistów, artysta-plastyk, dziennikarz, sędzia oraz kilku młodzieńców, którym wojna przerwała naukę w liceum. W sąsiednich izbach mieszkali sami młodzi robotnicy przeważnie fachowcy z zakresu elektrotechniki. Tu właśnie znajdowała się redakcja tajnej „Pchli” i tu już w końcu października 1944 roku mieszkający tego baraku wyłonili spośród siebie grupę ludzi, która miała sprawować władzę nad całym polskim obozem pracy. Z właściwym sobie młodzieńczym humorem, samorząd ów nazwaliśmy rządem, ba nawet obsadziliśmy poszczególne ministerstwa takie jak: zaopatrzenia, sprawiedliwości, ogrzewania („organizacja” brykietów) i informacji. Mieliśmy nawet własną tajną „policję”, której zadaniem było ingerowanie w wypadku jakichś bójek czy kradzieży w barakach. Na szczęście policja okazała się zbędną. Izba nr 10 jako siedziba rządu otrzymała miano „Wysokiej Izby”. Mimo, że była to swego rodzaju zabawa, w krótkim czasie i pozostałe baraki uznały „rząd” i trzeba przyznać, że „Wysoka Izba” załatwiła sporo spraw, była niezłe poinformowana o zamierzeniach Niemców, a pod koniec wojny wiosną 1945 roku stała się kolektywnym przewodcą 1500 rzeszy kłodzkich Polaków.

Sytuacja obozowiczów była bardzo różna. Ci, którzy pedzi-li bimber, mieli pod dostatkiem żywności, zresztą trzeba przyznać, że dzielili się nią ze swymi współlokatorami. Natomiast znaczna część pracowników AEG, a szczególnie kobiet była niedożywiona. Stołówka na twierdzy wydawała o godzinie 8 rano czarną, niesłodzoną kawę i skromną porcję chleba ze sztucznym miodem lub marmoladą z buraków. Obiad najczęściej stanowiła zupa z bruzki lub zupa z lupin ziemniaczanych oraz kasza, i trzy razy w tygodniu mikroskopijny plasterk mięsa. Kolacja taka sama jak śniadanie. Oczywiście było to wyżywienie niewystarczające i wiele osób, zwłaszcza młodzież, cierpiało na brak witamin, i było kilkanaście wypadków zachorowań na awitaminozę. Większość ratowały paczki od rodzin z Łodzi, ale to urwało się w styczniu 1945 roku.

Chodząc po mieście zauważyliśmy, że w aptekach znajdowały się spore zapasy tranu sprzedawanego na recepty. Wówczas to „Wysoka Izba” podjęła uchwałę, aby dożywić się tym wysokokalorycznym tłuszczem. Kilka spośród nas miało znajomych lekarzy, Polaków w Łodzi, którzy w odpowiedzi na nasze listy przysłali nam kilkadziesiąt recept na tran. Był to dwóch tygodniach i w Kłodzku zabrakło tranu, ale za to we wszystkich barakach jedzono na kolacje bardzo smaczne i pożywne frytki kartoflane. Okazało się, że ziemniaki smażone na tym tłuszczu wcale nie mają przykrego zapachu, natomiast tranem cuchnęły jeszcze przez długi czas wszystkie baraki.

Praca w fabryce na twierdzy nie należała do łatwych. O godzinie 6.30 rano pobudka w baraku, mycie w najbardziej prymitywnych warunkach i wyprawa do pracy, która się rozpoczynała o 7 rano. AEG otrzymało do swej dyspozycji całą twierdzę wraz z załogą wojskową i żołnierzami Wehrmachtu — więźniami, którzy za różne przewinienia skazani zostali na twierdzy. Zamiatali oni pomieszczenia, wyładowywali skrzynie z surowcem, pracowali w kuchni. Przed Polakami nie ukrywali swej nienawiści do Hitlera i hitlerowców i wspólnie z nami czekali na najszybsze zakończenie wojny. Wyżywienie otrzymywali takie same jak i my.

Twierdza kłodzka jest niewątpliwie jedną z większych w Europie. Dziesiątki fortów, kazamaty wykute w skałach, muruwane bunkry i cała sieć podziemnych lochów świetnie nadawały się do „dekowania”. W ostatnich miesiącach wojny znaczna część Niemców a zwłaszcza brygadziści i majstrowie już nie tak skrupulatnie i rygorystycznie pilnowali pracujących w twierdzy Polaków, toteż coraz częściej przymusowi lokatorzy twierdzy zaczęli penetrować jej zakamarki.

Lochy otaczał nim tajemniczość. Żołnierze — więźniowie uporczywie twierdzili, że hitlerowcy przed kilku miesiącami zwozili tu nocą jakieś ciężko wyładowane skrzynie i wnosili je do podziemi. Wskazywali nawet gdzie no wejść do lochów, gdzie miały być ukryte skarby. Starzy mieszkańcy Kłodzka opowiadali o tajnych przejściach łączących twierdzę z różnymi starymi budowlami w promieniu kilku kilometrów.

Wśród 1500 — „kłodzkich” łodźian ponad dwie trzecie stanowiła młodzież, która myszkowała po całej naziemnej części twierdzy i bliżej położonych lochach. Nikt jednak nie odważył się zpuścić w dalsze partie lochów. Zbyt świeża była bowiem pamięć o dwóch więźniach — Niemcach, którzy chcieli uciec lochami z twierdzy, ale zbladzi i gdy zgasio im światło wpadli do studni — pułapki. Sytuację zmieniło dopiero zdobycie planów. Młodzi ludzie z kreslarni postanowili przygotować wyprawę do lochów. Termin wyznaczono na 14 października 1944 roku, dając sobie tydzień czasu na „organizowanie” sprzętu i wyznaczenie ekipy. Oczywiście wszystko musiało się odbyć w najlepszej tajemnicy.

Wyprawa do lochów w połowie października 1944 r. została należycie przygotowana. Wzięli w niej udział Arkadiusz Jaśkiewicz (obecnie docent fizyki Uniwersytetu Wrocławskiego), Polikarp Goździk, Leon Pawlicki i autor tego artykułu. Polikarp i Leon byli wówczas robotnikami magazynu elektrotechnicznego, toteż wzięli na siebie funkcję zaopatrzeniowców z czego wywiązali się celująco. Każdy z członków „ekspedycji” otrzymał lampę górniczą, zwój mocnego sznura oraz krede. Jeden z nas niósł kompas i narzędzia. Punktualnie o godz. 10 rano rozpoczęliśmy wędrówkę po podziemiach twierdzy. Krótka narada, odnalezienie miejsca na planie i doszliśmy do wnioskowi, że drugi korytarz na lewo jest właściwym przejściem do komnat zaznaczonych tylko konturami na planie. Zgodnie z moim zdaniem całą przebyta drogę co kilkadziesiąt metrów znaczyłem kredą, by cała ekipa nie miała kłopotu w powrotnej drodze. W przedśniku labiryntu dodatkowo namalowałem kilka strzałek wskazujących kierunek wyjścia. Korytarz, do którego weszliśmy nie był już poziomy, lecz pod pewnym kątem biegł w dół. Po dziesięciu minutach drogi znów natrafiliśmy na rozwidlenie korytarzy. Tu już nastąpiły pewne komplikacje.

Ilość wejść nie zgadzała się z planem. Niemniej zaufaliśmy korytarzowi i wskoczyliśmy do pierwszego lochu z lewej strony. Cisza, a przedśnik i lochy w żółtym świetle lamp górniczych wyglądały wprost upiornie. Po kilkuset metrach loch nagle się skończył. W ślepej ścianie znaleźliśmy jednak przejście, co w rodzaju prostokątnego tunelu, w którym można się jedynie poruszać na czworakach.

Po 200 metrach zziębnięci i spoceni weszliśmy znów do normalnego podziemnego korytarza. Tutaj denerwującą ciszę — co chwila przerywały odgłosy spadających kropel wody. Ściany wykute w skałe były wilgotne, a środkiem lochu, wgłębieniem spływał strumyk. Idziemy dalej. Wtem rozległ się okrzyk Arkadiusza: — Chłopcze stać! Z kompasem coś nie w porządku! Zatrzymujemy się. Ręczny kompas wskazuje, że idziemy w kierunku zachodnim, podczas gdy według planu powinniśmy posuwać się owrn lochem na wschód. Krótka narada. Ktoś wspominał, że jeśli kompas znajdzie się w polu magnetycznym lub nawet obok jakiegoś żelaza — to „wysiąda”. Zabraliśmy przecież ze sobą młotek, obcegi, stalowe haki i być może obecność tych narzędzi zaszkodziła czułości kompasowi. Trudno, poszliśmy dalej. Znow labirynt, kilkadziesiąt metrów drogi lochem i natrafiliśmy na obszerną komnatę.

— Uwaga! Przepaść! — Arkadiusz prowadzący ekipę, latarką wskazuje na wyłot korytarza. Rzeczywiście w końcu lochu, tuż u wejścia do tajemniczej sali natknęliśmy się na olbrzymi basen wypełniony wodą. Jedynie z boku między skalną ścianą a studnią biegnie wąska 50-centymetrowa drożka, wejście do sali. Wędrowiec pozbawiony światła zginąłby marnie w wodnych czeluściach tej jamy.

Rozglądamy się. Pośrodku sali o wymiarach 10x10 metrów wysokiej na kilka metrów stoi masywny, czarny od stałości stół. Tu widocznie niegdyś obradowało dowództwo oblężonej twierdzy. Kierujemy się do drugiego wyjścia. Znow identyczne, kute w skałe korytarze, w pewnym momencie urywające się i przechodzące w prostokątne niewygodne tunele. Znow kilka rozgałęzień lochów i po półgodzinnym marszu



Taki rysunek z Polikarpem ukazał się w „Pchle”, w styczniu 1945 r.

wychodzimy na małą skalę, z której gwałtownie rozchodzą się lochy. Jeden biegnie wyraźnie w dół, jest w nim więcej wody i błota. Po kilku minutach natrafiamy na szerokie schody, które kończą się w dość rozległej komnacie o półokrągłych sklepieniach.

Wchodzimy tam i... debiemy. Pod ścianami stoją regały wypełnione najrozmaitszymi przedmiotami. Zastawy z saskiej porcelany stoją obok pięknie rzeźbionych pucharów. Na ziemi leżą przetykane złotem szaty, suknie o fantastycznych wzorach, setki bezładnie rozrzuconych obrazów olejnych, różnego rodzaju manuskrypty i książki, a na środku sali leży kilkadziesiąt najrozmaitszych pistoletów kurkowych i muszkietów z pięknie inkrustowanymi rekojeskami. Ponad 2 godziny oglądaliśmy te skarby. Okazało się, że odkryliśmy miejsce w którym hitlerowcy ukryli przed bombardowaniem cenne eksponaty z muzeum kłodzkiego i wrocławskiego.

Więść o odkryciu w lochach przedmiotów muzealnej wartości szybko rozeszła się wśród łodźian zamieszkałych baraki przy ul. Georgstr 8. Kilkanaście osób poszło w nasze ślady. Wkrótce część eksponatów zmieniła swe miejsce. Spod przyz wystawły talerze z saskiej porcelany, a obskurne drewniane ściany baraku upiększały miniatury w misternych ramach, stare sztychy i makatki. Wiedząc co się święci, zwołaliśmy radę z udziałem kilku starszych wiekiem i doświadczonymi kolegów. Zapadła decyzja, aby części najcenniejszych eksponatów przenieść do innego lochu i tam ukryć, a przede wszystkim usunąć to wszystko z baraków.

Zrobiono to w samą porę, bo już następnego dnia Niemcy zorientowali się, że ktoś niepowołany wdaruł się do muzeum. Ta część lochów została natychmiast zamurowana, z zewnątrz ustawiono warę. Na szczęście zdążyliśmy wynieść z baraków wszelkie „dowody rzeczowe”. Dobrze, że Niemcy nie wpadli na pomysł, by kontrolować zawartość paczek, które w ciągu następnego dnia Polacy wysłali do Łodzi.

Zima i początek wiosny 1945 roku mocno dały się nam we znaki. Na początku lutego dowiedzieliśmy się, że Niemcy zamierzają ewakuować fabrykę AEG dalej na zachód. W barakach zawrzało. O sytuacji na frontach byliśmy świetnie poinformowani przez koleżanki pracujące na oddziale kontroli radioapara-

tów przeznaczonych do łodzi podwodnych. Wiedzieliśmy, że są to już ostatnie podrygi „Wielkiej Rzeszy” i wyswobodzenie Kłodzka jest sprawą najbliższych tygodni. Dlatego też postanowiliśmy za wszelką cenę zostać na miejscu. W tym czasie Kłodzko przestało już być spokojnym miastem. Napłynęli tu uciekinierzy niemieccy z całego Śląska, a najwięcej z Wrocławia. Ludność miasta z 30 tysięcy wzrosła do 100 tysięcy. Ludzie mieszkali w piwnicach i na strychach. Każdy wolny kąć był zajęty.

W końcu lutego rozpoczęła się dawno oczekiwana ewakuacja fabryki do Turyni. Plan przewidywał przeniesienie urządzeń i załogi w ciągu dwóch tygodni. „Wysoka Izba” wydała wówczas instrukcję aby robotnicy zatrudnieni przy demontażu maszyn, opóźniali prace, oczywiście zachowując przy tym wszelkie pozory. I rzeczywiście po upływie dwóch tygodni Niemcy zdolali zaledowad na podjazd zaledwie część urządzeń fabrycznych. Dzień zresztą w tym pomagali więźniowie — Niemcy, którzy też zorientowali się w sytuacji i pracowali przy załadunku nadzwyczaj powoli. Coraz to częściej nadlatywały nad miasto samoloty radzieckie.

W początku marca wyjechały pierwsze transporty polskich robotników do Turyni. Oczywiście nie wszyscy jechali. Większość młodzieży „faszowała” prowiant na drogę i... nie pokazywała się więcej. Mimo, że w połowie marca fabryka w twierdzy przestała istnieć, niemal półowa załoga została w Kłodzku, skutecznie ukrywając się przed policją i Gestapo. Korzystając z ogólno-go zamieszania jedną z należi pracę w okolicznych wioskach u chłopów, gni zaś m. in. wszyscy członkowie „Wysokiej Izby”, umiejtnie „dekowali” się w mieście. Twierdza zajęł Wehrmacht.

Tutaj duża pomoc okazał nam majster Reinhold Buchholz, o którym pisałem poprzednio. Najważniejszym dokumentem dla Polaków była „Arbeitsbuch” — książka pracy, bez której nie można było otrzymać kartek żywnościowych i pracy. Te książeczki znajdowały się pod zamknięciem w dyrekcji fabryki Buchholzu udało się wy dostać z dyrekcji kilkadziesiąt „Arbeitsbuchów” i rozdać je naszym oddziałom.

W kwietniu wojskowy dowódca miasta ogłosił, iż Kłodzko jest twierdza, która do ostatniego człowieka będzie bronić przed „sowiecką nawałnicą”. Całą ludność zagoniono do kopania rowów przeciwpancernych. Na wszystkich wyłotowych ulicach powbijano grube pale, a obok nich pełnili służbę kilkunastoletni „Hitlerjugend” i kilkadziesiątletni „Volkssturmmowy”. Na nic się to nie zdało. Wojska radzieckie wkroczyły do Kłodzka bez walki. Na twierdzy powiewała biała flaga. Następnego dnia na ratuszu, na barakach przy ulicy Wandy i szosie kudowskiej powiewały pierwsze w tym mieście flagi białoczerwone.

ADAM BIENKOWSKI



EDWARD HABDAS — „Refleksje nad morza” (olej)



„RYTM”

Sztuka polskiego XX-lecia międzywojennego, aczkolwiek w czasie niezbyt nam odległa, nie doczekała się, jak dotąd, pełnych i wy-czerpujących opraco-wań, monograficz-nych, nie wspomina-jąc już o ujęciach syntetyzujących ca-łokształt plastyki tamtych lat, wyjąt-kowo przecież bo-gatych w formy i treści, kierunki, u-grupowania i stowa-rzyszenia twórcze. Obecne oceny przez brak pewnych wiadomości, przez narosłe mity i legendy, a także poprzez zacieranie się pewnych faktów lub tych faktów opatrzną in-terpretację, również przez zniszczenia dokumentów w czasie działań wojennych, są często mylne, a w każdym razie niepełne. Liczne wszak ugrupowania i stowarzyszenia twór-cze okresu XX-lecia wciąż czekają na swoich badaczy — a przecież zasługują na to — pozostawiały bowiem trwały ślad w dziejach naszej kultury i zajmowały onegdaj poważ-ny pozycje w naszym życiu artystycznym.

Luki te w pewnym sensie wypełnia książka Henryka Andersa, pt. „Rytm”, będąca zmienioną nieco wersją wcześ-niej pisanej pracy doktorskiej. Traktuje ona mianowicie o grupie, działającej od początku lat dwudziestych, a więc równoległej z formistami, choć bez takiego rozgłosu jak bar-dziej radykalni w swych wystąpieniach poszukiwacze stylu narodowego.

„Rytm” pragnął budować styl narodowy, eksploatując założenia klasycyzmu, częściowo sztukę ludową, wreszcie ak-tualne zasady konstrukcji formalnej, przy czym za ważną, jeżeli nie za nacelną zasadę, uważał rytm”. Toteż właśnie problem XX-wiecznego klasycyzmu, narodowego poczucia formy oraz teorii rytmu w sztukach plastycznych — proble-mom raczej pochodnym, ale dość istotnym dla zrozumienia twórczości działających w omawianej grupie artystów po-święcona jest monografia Henryka Andersa, opatrzona licznymi reprodukcjami (także wkładkami barwnymi) i wyczer-pującymi przypisami.

Monografia tym ciekawsza i tym bardziej potrzebna, że wyjaśnia wiele nieścisłości związanych z grupą Rytm, przy-pominając chociażby takie fakty, jak ten, iż Kowarski czy Niesiołowski byli z tą grupą związani; czy przypominając w reprodukcjach, wiele dzieł, które — jako że członkowie grupy sporo sprzedawali, a w związku z tym dużo ich prac znajdowało się w zbiorach prywatnych — uległo bezprowot-nemu zniszczeniu. Książka przypomina także owe przesławne boje awangardy przedwojennej z Rytmem, która to awan-garda zarzucała członkom grupy paszizm i tradycjonalizm, uważając ich twórczość za nadzbyt umiarkowaną, stateczną i przeestetyzowaną.

Henryk Anders „Rytm”, Wyd. Arkady, W-wa 1972, cena 80 zł.

„SZTUKA UŻYTKOWA”

Wiosną 1969 roku w Gdańsku, Łodzi, Warszawie, Wrocławiu i Lublinie odbyły się wystawy sztuki użytkowej prezentujące dorobek naszych artystów na przestrzeni dwudziestu pięciu lat powojennych. Ten swoisty festiwal został wysoko ocienio-ny zarówno przez środowiska artystyczne, jak i przez kryty-kę. Pod koniec ubiegłego roku ukazał się staraniem Związku Polskich Artystów Plastyków obszerny album pt. „Polska sztuka użytkowa w 25-lecie PRL”. Przewodniczącym komitetu redakcyjnego jest Andrzej Janota, a sam album zasługuje na uwagę z dwóch powodów: po pierwsze — z racji starannego wydania, po drugie: — z tej prostej przyczyny, że jest to w tym rodzaju typowy dokumentacja osiągnięć polskiej sztuki użytkowej.

Człowiek współczesny, bardziej niż kiedykolwiek, odczu-wa potrzebę harmonii i ładu w swoim bezpośrednim ote-oczeniu. Funkcje porządkujące wzięła obecnie na swoje barki sztuka we wszystkich swych odmianach i przejawach. Plastyk coraz częściej staje się nie tylko dyspozytorem ma-sowej wyobraźni, ale również organizatorem wielu enklaw ludzkiej egzystencji. Staje się pośrednikiem między światem intuicji, natchnienia i technicznego konkretności, technika bo-wiem wdrożyła we wszystkie dziedziny życia, musiała więc stać się rzeczą oczywistą i w sferze sztuki. Wszystko wskazuje na to, iż proces ten będzie pogłębiał się i zacieśniał coraz szersze kręgi.

Polska sztuka użytkowa (a ma ona przecież bogate tra-dycje przedwojenne, o czym warto przy okazji pamiętać) w okresie powojennym rozwijała się w specyficznych war-unkach i w archaicznych sposobach. W latach pierwszych brak materiałów i niedomogi produkcyjne wyrównywała inwencja, pomysłowość, a nawet brawura artystów — pro-jektantów. Kiedy z ulic Warszawy uprzętał się gruz — nasze wystawianictwo za granicą wzbudzało niekłamane zainteresowanie i było nieomal rewelacją. Brak nam było szkła okienne, gdy powstawały pierwsze, interesujące formy sztuki artystyczno-użytkowej. W umysłach i pracow-nicach rozdzieli się pierwsze koncepcje projektowania form przemysłowych, gdy na rynku wewnętrznym brak było mi-sek i włóder...

To była droga trudna, ale może dlatego właśnie, że była tak trudna, polska sztuka użytkowa dziś legitymuje się osiągnięciami na skalę światową. (To, że często nie zdaje-my sobie z tego sprawy, to inna para kaloszy). I nie jest to wcale przesada, ani megalomania, wystarczy bowiem przejrzeć dorobek naszej tkaniny unikatowej, o ceramicz-nych, wykładanych i w tych dyscyplinach sztuki. Miną, a lata ostatnie dają przykłady ogromnego zainteresowania sztuką użytkową ze strony przemysłu, handlu, a także szkolnictwa artystycznego.

„Polska sztuka użytkowa w 25-lecie PRL”, ZPAP, W-wa. Album wydano pod redakcją Andrzeja Janoty, cena 250 zł.

„PODRÓŻ NIEZAPOMNIANA”

Założeniem tej niecodziennej książki Mieczysława Wallisa jest próba połączenia ze sobą w jedną całość zjawisk arty-stycznych, bardzo od siebie różnych i odległych od siebie zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Zjawisk tak dalece różnych, jak malarstwo paleolitu, drzeworyt japoński, eks-presjonizm, malarstwo El Greca i Beardsleya. Autor stara się wykażać liczne i trwałe związki między tymi zjawiska-mi, wykażać na znakomicie dobranych przykładach ciągłości sztuki, niezależnie od epoki i miejsca, w którym ona po-wstaje. Okazuje się bowiem, że na Beardsleya wielki wpływ miała japońska sztuka graficzna; że ekspresjonizm uznawał w El Greco swego wielkiego duchowego patrona; że malar-wość naskalna anonimowych mistrzów w Altamirze i La-scaux stanowiła inspirację dla twórców współczesnych...

Ogromną zasługą Mieczysława Wallisa jest również to, że ukazuje on fakty i problemy artystyczne mało znane, a w naszej literaturze popularnonaukowej do tej pory nie-podnoszone.

Książka składa się z części, które powstały nie z przy-padkowego, wyspekulowanego wyboru, a z autentycznej fa-scynacji, z niekłamanej urzeczności danym zjawiskiem ar-tystycznym, osobowością twórczą, odrębnością kulturową ja-kiegoś kraju, czy wreszcie osobliwością jakiegoś konkretnego okresu sztuki. Punktem wyjścia są więc ludzie, miasta, pra-dy lub ugrupowania artystyczne, jakiegoś malowidła, które zwróciły uwagę autora przez swą inność, a jednocześnie przez swój odmiennik w innym miejscu, w innym czasie, w innej kulturze...

I tak obucujemy z książką, która zabiera nas w podróż poprzez kontynenty i epoki, po nieskonczenie różnorodnym, wielokształtnym, wielopostaciowym dorobku artystycznym i kulturowym ludzkości. Zająca książka jest również staranny i trafny dobór reprodukcji, a także sam jej układ graficzny.

A. G.

Mieczysław Wallis „Malarze i miasta”, Studia i szkice. Wyd. Artystyczne i Filmowe, W-wa 1972, cena 70 zł.



Bly kiedyś czasy, bardzo dawno temu, kiedy szczylił się najlepszym jakoby na świecie repertuarem kin. Dość tajemnicze ciało kolektywne zwane Radą Repertuarową, dumne z siebie, głosiło wszystkim, komu o tym wiedzieć należało, że ów naj-ciekawszy i najambitniejszy repertuar filmowy bierze się stąd, iż mamy najlepszą i najambit-niejszą politykę w dziedzinie kultury filmowej. I kiedy na początku lat sześćdziesiątych szczerł smutno fetysz arcyciekawego repertuaru kin, pojawił się nowy, mocniejszy fetysz, zwany kul-turą filmową.

Rzeczywiście, mnóstwo zbiorów muzealnych. Co więcej, filmy w muzeach zjyją, są stale pokazywane publiczności, a nie tkwią w piwnicach i boksach ma-gazynów, jak w naszych polskich filmotekach. Pro-sperują tam także prywatne kina starych filmów, a na-wet biura wynajmu i sprze-daży kopii starych filmów, zredukowanych do wymia-rów kina domowego, na-taśmie 16 i 8 mm. Tanie, od 8 do 17 dolarów za ko-pię, na własność.

Stolica świata, Paryż, ma niezliczoną ilość małych kin, którym opłaca się pokazy-wanie publiczności starych filmów, nawet tych rzeko-mo nielubianych, o najwyż-szej wartości artystycznej.

Nie mam tu zamiaru wypomi-nać czegoś, o czym nie kupił ze światowego rynku filmowego. Na ogół przedziwne i późniejsze oglądamy czołowe pozycje z twórczości krajów RWPG, a co do filmów takich jak „MASH”, „Woodstock”, czy „Godfather” — pozostaje żyć, ufać i wierzyć w nadzieję. Są zapewne jakieś powody, dla których tego ro-zdaju filmów nie wprowadza-my, może ideologiczne, może ty-lko finansowe. W tym tonie byłoby chętny z tego powodu, że jeszcze nie zdążyliśmy zatawić kupna „Mostu na Rzece Kwai”, ani „West Side Story”, że nie ma w naszych kinach nowych i starszych nie-co filmów Pasoliniego i Anto-nioniego, a że to są oszukawcy „Niesiecy żołnierze”. Dobrze byłoby mieć jednak pewność, że ta nieobecność filmów wy-magających intelektualnego wysi-lku nie jest spowodowana brakiem zaufania, jaki wspom-niana już Rada Repertuarowa żywi w stosunku do możliwości intelektualnych swoich bliźnich. Ale to jest już całkiem inna historia.

O czym innym chcę dziś pomarzyć.

Różnie sobie w świecie radzą z filmem. Są takie szczęśliwe kraje, które wca-le nie mają własnej kine-matografii i problemów z kulturą filmową. Ale są też kraje, które proponują bar-dzo ciekawe rozwiązania problemu repertuaru filmo-wego, choć w dużej mierze rozwiązania te biorą się ze smykałki do handlu, a nie ze szczytnych ideałów.

W Związku Radzieckim film włączono do zbiorów wielkich bibliotek. W czy-telni — a raczej w przegła-darni — można na miejscu skorzystać z dużego wyboru filmów, w tym z klasycz-nych pozycji fabularnych. W ten sposób zrealizowano jedno z marzeń nieuleczal-nych kinomanów, dając im możność powracania do szczególnie cenionych ulu-bionych pozycji, tak jak się wraca do dobrej książki.

Stany Zjednoczone bez kompleksów i uprzedzeń potraktowały film jako dziedzinę sztuki współczes-nej, i dały mu miejsce w

Przeciwko wznowieniu sta-rych filmów przemawiają więc dwa argumenty. „Ludzie nie przyjdą”, „Ludzie nie przyjdą”. „Ludzie” wprowadzić nikt do-tąd nie próbował czy przyjdą. Ale CAF uważa za pewne i natural-ne, że nie ma w tym kraju ni-kogo, kogo interesowałby „Ivan Mozzuchin i Lillian Harvey, Clark Gable, Marilyn Monroe, Montgomery Clift, Gerard Philippe, James Mason, Anna Magnani, Ani Henry Fonda w „Mieście bezprawia”, ani „Kró-lewna Snieżka”. Było i spły-nęło i Kropka.

Może nawet jest w tym jakiś procent racji. Ale przecież ma-my podobno kulturę filmową. A tymczasem dorosło już po-kolenie, które nie ma pojęcia o wioskim neorealizmie. Czy z twórczości włoskich mistrzów ma im wystarczyć „Erotis-simo”?

Dorasta pokolenie, które nie wie co to są nowe fale i dia-logiczne Michelangelo Antonioni wieszczem jest, pokolenie, któ-re, nie ma błędnego pojęcia o twórczości Eisensteina i Dow-żenki, choć krytyka nasza wciąż wypomina młodym twór-com radzieckim, że na tych antenatach się wzoruje, albo że się nie wzoruje.

„Dzieci” powinny mieć w naszym kraju „pułę specja-lną” o stale odnawianym de-bicie. Kopie dobrych filmów muszą krążyć stale, bo dzie-ci nam stale rosną, i stale skądś się biorą nowe.

Znowu pada tajemnicze słowo „debit”.

Jeśli nie przekonują kogo trzeba fakty z różnych podwó-rek, to może pomoże opowieść prawdziwa o pewnej pani, któ-ra w zielonych swych leciech osiemnaście razy oglądała wie-kopomny kicz pt.: „Śpiewak nieznan”, w którym tustawy Tino Rossi miękko i uwodzi-cielsko śpiewał walca Brahmsa? Jestem pewna, że dla samych sentymentalnych wspomnień i dziś pobiegłaby posłuchać i po-plakać.

Albo kupić je po raz drugi. Tak rozumiany debit nie do-tyczy tylko filmów z krajów RWPG, bo mamy z nimi in-ne umowy.

I tu jest właśnie pies po-grzebany. Zamiast ryzyko-wać i wydawać pieniądze na filmy, które przeszły już przez nasze ekrany, wydaje się je na filmy nowe, jeszcze nieznanne. Że nie zawsze na właściwe filmy, to już inna sprawa. Ale że pieniądze w walucie wymiennej jest o-czywiście nie za wiele, więc ryzyko wznowień podejmuje się w niezwykle rzadkich wypadkach.

„Ale może jednak warto sobie przypomnieć że film należy mimo wszystko do zjawisk, które składają się na ogólny obraz kultury, ba, nawet sztuki. Że do wielu filmów trzeba wracać, bo należą do ogólnowiadomego dorobku, podobnie jak obra-zy, rzeźby i literatura.

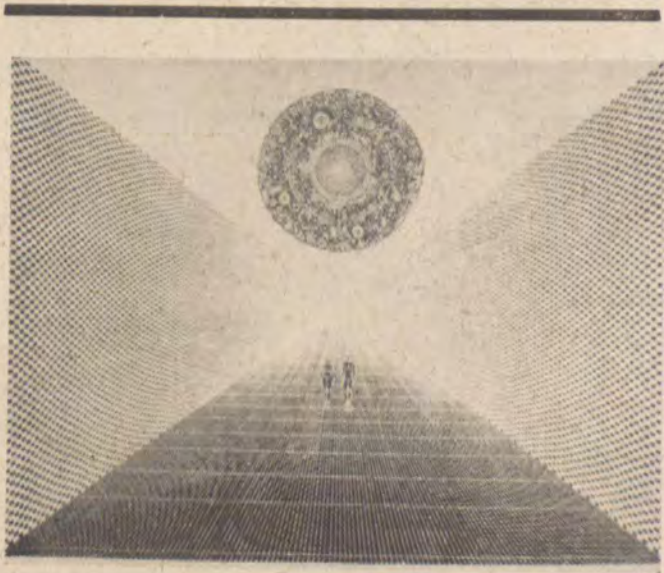
Gdyby tak wydzielił nie-wielki fundusz na zakup tań-szych bo starych filmów, znaleźć jakieś sympatyczne kina, i zaprosić nas. Zaprosi-cie na spotkanie z Gretą Garbo i Johnem Barrymore, z Leslie Howardem i Mi-chele Morgan, z Louisem Jouvetem i Laurencem Oli-vierem. Tyle jest piękności w przeszłości naszej zner-wicowanej sztuki filmowej i tyle mądrości.

Oto demagogicznie wymie-nię tylko kilka tytułów, któ-re mogą zadowolić wszyst-kich: „Obywatel Kane” i „W samo południe”, „Rio Bravo” i „Rzym miasto ot-warte”, „Hamlet” Oliviera i „Wesoła wdówka” z Chevalierem. A Pasolini, Renoir, Clair, Bergman, Sjöberg, Kazan?

Rachityczna z musu dzia-łalność Filmoteki Polskiej (to znów odrębny tom me-lancholijnej prozy nie jest w stanie dać nam tego, na co czekamy. Niech więc nasz monopolista w rozpowszechnianiu raz jeszcze potraktuje widza filmowego jak istotę myślącą, a kto wie, może o-bie strony dobrze na tym wyjdą.

Nie mamy prawa cofać się do czasów, kiedy jedynie do-radny zysk o tym czy inte-res idzie, jeśli naprawdę myślimy o kulturze. Nie tyl-ko filmowej.

EWA NAGURSKA



HENRYK PŁOCIENNIK — „Miodowy miesiąc VII” (autocynkografia)

PLASTYKA

Tkanina unikatowa i tkanina przemysłowa, to jedna czy dwie różne dyscypliny w sztukach plastycznych?

POLSKA TKANINA

Liczne są spory na ten temat. Wspólnym dla obu tych dyscyplin jest zaangażowanie talentu, intelektu, doświadczenia, emocja i pasja twórcza, jakie wyzwolić z siebie musi każdy artysta, kreujący własne dzieło. Wspólnym jest też to, że obie te dyscypliny wyrosły z jednego jak gdyby korzenia, to jest z tradycji sztuki tkackiej. Wspólnym wreszcie jest surowiec — włókno, które w obu wypadkach w taki czy inny sposób służy do obiektywnej w materialną formę zamysłu artysty.

Natomiast ich różnicowanie odczuwa się już w momencie przystępowania artysty do realizacji swej wizji plastycznej. Różnice są tak duże, że czynią obie te dyscypliny nieporównywalnymi.

W powstawaniu tkaniny

unikatowej, wykonywanej przez artystę w pojedynczym egzemplarzu, a więc niepowtarzalnej, decydującą rolę gra znajomość praw, jakimi „rządzi” się ręczne krosno tkackie. Opanowanie warsztatu tkackiego, wynikające z samodzielnej pracy na nim artysty, pozwoliło wielu z nich wykorzystać wszelkie możliwości, jakie daje krosno tkackie, a nawet przelamać dyscyplinę warsztatową, jaką ono narzuca. Wielu pozostawiło za sobą kanon, w myśl którego kompozycja gobelinu zamyka się w jego prostokątnym kształcie. Równie wielu dowiodło, że **zacziera się granica między tkaniną a kompozycją przestrzenną.**

Wszystko to stało się możliwe dzięki bezpośredniemu udziałowi artysty w procesie powstawania jego dzieła,

dzięki dziesiątkom, setkom godzin, jakie spędza on przy krosnie tkackim. Na skutek nieograniczonych prawie możliwości realizacji, tkaniny unikatowe prezentują niekiedy diametralnie różne konwencje. Niemniej, mimo często krańcowo różnych koncepcji twórczych i sposobów realizacji, mimo nieistnienia grup artystów zrzeszonych wspólnym programem, mimo działania raczej w odosobnieniu niż w kolektywach — podciągnąć można tkaniny unikatowe pod wspólny mianownik: „**tkaniny polskie**”. Są one polskie nie poprzez kontynuację narodowych form. Nawet dalekie reminiscencje tego rodzaju są tu trudne do odkrycia. Przeciwnie, **doskonale opanowanie warsztatu, techniki i surowca pozwoliło artystom, pracującym w tej dziedzinie, kreować nową formę, która, choć nie tradycyjna, jest polska, narodowa odmiennością i niepowtarzalnością w świecie.**

Natomiast novum w tej sytuacji jest fakt, że w niedługim czasie **będziemy świadkami zjawiska zatrącenia się narodowego charakteru polskiej tkaniny unikatowej w stosunku do tkactwa unikatowego w świecie.**

Bynajmniej nie przez regres naszej twórczości. Uświadomić sobie jednak musimy, że oryginalność polskiego tkactwa unikatowego wzbudziła w świecie ogromne i zrozumiałe zainteresowanie artystów uprawiających tę dyscyplinę. Nie my w nich, lecz oni w nas szukają wzorców, o czym świadczą coraz to częstsze wizyty artystów i marchandów zagranicznych w pracowniach polskich twórców. Ostatnie Biennale tkaniny w Lozannie, eksponowane zresztą później w Warszawie (co również jest znamienne), pokazuje, jak szybko Francuzi, Belgowie, Anglicy i inni — inspirowani niewątpliwie polską tkaniną unikatową — wyzwolili się z konwencji gobelinu, narzuconej przez powstałe we Francji w okresie powojennym „Stowarzyszenie Artystów — Kartonarzy Gobelinów” (Lurçat, Saint-Saëns i inni).

Zupełnie odmienny świat prezentują **tkaniny przemysłowe**, realizowane w przemyśle kluczowym według projektów artystów plastyków, projektantów przemysłowych. W odróżnieniu od swych kolegów, tworzących tkaniny unikatowe, projektanci przemysłowi nie mają bezpośredniego udziału w tworzeniu tkaniny. Ich rola ogranicza się do przygotowania projektu — wzoru, powielanego potem przez maszynę, wzoru ograniczonego dyscypliną technologii narzucającej wymiar i powtarzalność raportu, rozmiar palety barw, charakter surowca itp.

Nie ma tu owej swobody, ty-

powej dla kreowania tkanin unikatowych. Przeciwnie, reżim technologiczny zmusza artystę do mieszczania się w jego jakże ciasnych niekiedy ramach, których przekroczenie uniemożliwia realizację projektu. Stąd też nieklamany podziw budzą ci projektanci przemysłowi, którzy talentem i wysiłkiem koncepcyjnego myślenia tworzą kreacje wzornictwa często tak atrakcyjne, że zmuszają do zapomnienia o nieubieganej technice, która je stymuluje. Mimo tych wybitnych niekiedy osiągnięć nie można mówić o polskim obliczu wzornictwa przemysłowego we włókiennictwie. Z wyjątkiem sporadycznych przypadków, nie ma ono charakteru pozwalającego na tego rodzaju określenie. Wiele jest przyczyn tego zjawiska. Ani bezpośredni udział artysty w tworzeniu dzieła, ani „naginanie” dyscypliny warsztatowej do koncepcji, które pozwoliło tkaninie unikatowej nadać niepowtarzalną „rodzimość”, nie może być przeniesione na pole wzornictwa przemysłowego.

Artysty projektanci przemysłowi, działający w ramach organizmu gospodarczego, jakim jest przemysł, muszą projektować zgodnie z tendencjami mody światowej, która z natury rzeczy jest kosmopolityczna. Biorąc pod uwagę szybkość dopływu informacji oraz cykl wdrażania wzoru do produkcji, są oni narażeni jak gdyby na wierność działania, która zresztą nie wyklucza możliwości interesujących i wartościowych pod względem formalnym kreacji. Ten stan rzeczy jest obiektywnie uzasadniony. Jednakże również obiektywnym jest stwierdzenie przeciwnostawne, a mianowicie, że na światowym rynku zainteresowanie budzi to,

co odmiennie, a tym samym oryginalnie. Ilustracją tego może być informacja, że w Norwegii firmy tekstylne, związane z kapitałem zachodnioeuropejskim i w związku z tym wprowadzające wzory „kontynentalne” przeżywają trudności ekonomiczne, podczas gdy fabryki, które wykorzystują we wzornictwie motyw tkactwa ludowego, wielokrotnie zwiększają swoją produkcję, również eksportową.

A przecież jest z czego czerpać i w Polsce. Nie chodzi tu zresztą o przeniesienie „żywcem” wzoru z tkaniny ludowej na przemysłową (co zresztą jest często niewykonalne ze względu na specyfikę surowcową), ale szukanie sposobu inspiracji w polu sztuki narodowej. Skoro tak interesujące potrafi być nasze wzornictwo inspirowane sztuką egipską, perską lub zabytkową tkaniną historyczną, to nie powinno tracić na atrakcyjności w przypadku inspiracji rodzinnymi wzorcami. Szkoła w tym, że zbyt mało, jakby z zażenowaniem sięga się po ten materiał. Zapominamy o tym, że tendencje mody nie są jedynie wynikiem dyktatu produkcyjnych firm. Wynikają one ze złożonego zespołu zjawisk, między innymi również politycznej natury. Zjawisko to nie obce jest ani dwudziestemu ani poprzednim wiekom. Stąd też pamiętać musimy, że zainteresowanie Polską na politycznej arenie międzynarodowej, zawsze będzie sprzyjało lansowaniu na rynku tkaniny o oryginalnym polskim charakterze.

ADAM NAHLIK

WIESŁAW Garboliński

Twórczość Wiesława Garbolińskiego nie jest obca tym, którzy interesują się sztuką. Związany stałe z Łodzią artysta ten od dawna bierze udział w wielkich pokazach zbiorowych sztuki polskiej, jakia odbywają się w stołecznej „Zachęcie”. Obrazy jego można również oglądać na kolejnych wystawach Gru-

py Malarzy Realistów, urządzanych tamże od 1962 roku. Wystawy te pozwoliły przesiąść dotychczasowy rozwój utalentowanego artysty, który przekroczył właśnie 45 lat życia. Przynależność do wspomnianej Grupy określa podstawowy kierunek zainteresowań twórczych Wiesława Gar-

bolińskiego. Jest on realistą. Termin ten jednak stał się dziś tak już wieloznaczny, że wymaga bliższych sprecyzowań.

Artysta uprawia konsekwentnie twórczość o charakterze figuratywnym. Inspirowaną przez otaczającą rzeczywistość. Tematyka jego obrazów jest różnorodna. Dawniej przeważały w niej motywy okupacyjne, spęty, wojenne zwyczaje z życia najbliższych szarż, pejzaże przemysłowe. W pewnym momencie domingwać zaczęły akty usadowione w opustoszałych wnętrzach i ascetyczne martwe natury, układane z nielicznych przedmiotów o najbardziej codziennym przeznaczeniu. Były to z reguły obrazy jasno skonstruowane, często obwiedzione wyra-

źnistym konturem, oszczędne w gamie kolorystycznej, uderzające jednak szlachetnością materii malarskiej.

W ostatnim okresie sztuka Wiesława Garbolińskiego, uległa dość radykalnym przemianom. Można by rzec — skomplikowała się jej zawartość, przy równoczesnym utrzymaniu wypracowanych już środków malarskich. Artyście przestała wystarczać dawniejsza prostota i surowość, a także jednoznaczność podejmowanych treści.

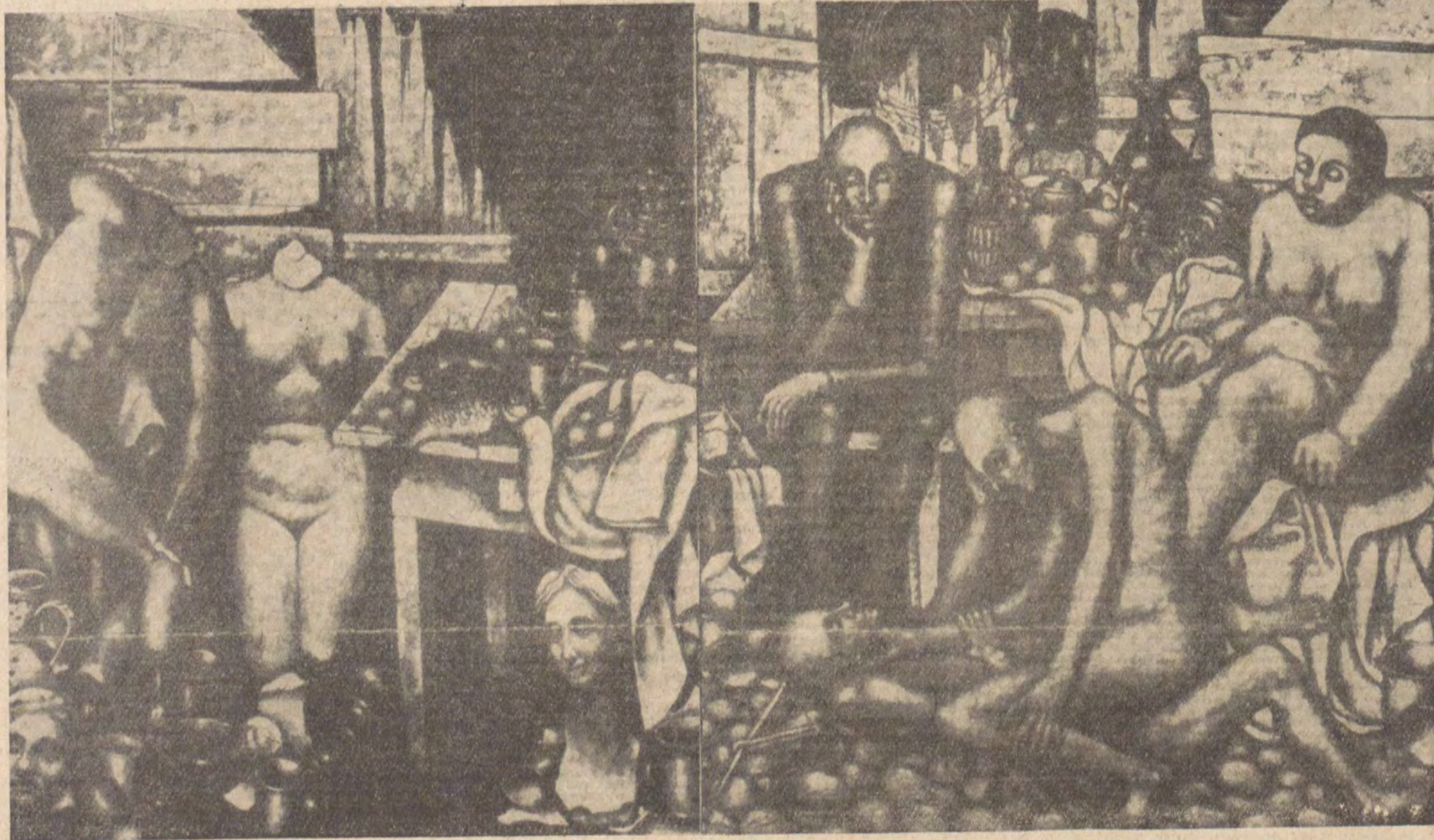
Jego obrazy cechuje teraz specyficzny „horror vaell”. Nagromadzone w nich wiele najrozmaitszych postaci i przedmiotów. Akty męskie i kobiece, torsy rzeźb antycznych, jakież barokowe wręcz martwe natury, komponowane z najbardziej nieoczekiwanych ele-

mentów bytują w tych obrazach na zasadzie równouprawnienia. Jest w tym coś z praktyk tradycyjnego surrealizmu i współczesnego pop-artu.

Obecne obrazy Garbolińskiego potrzebują już klucza do ich rozumienia, sugerują różne znaczenia, co sam autor podkreśla, łącząc je w cykle pod wspólnymi, metaforycznie brzmiącymi tytułami: „Samotność” lub „Cywilizacja”.

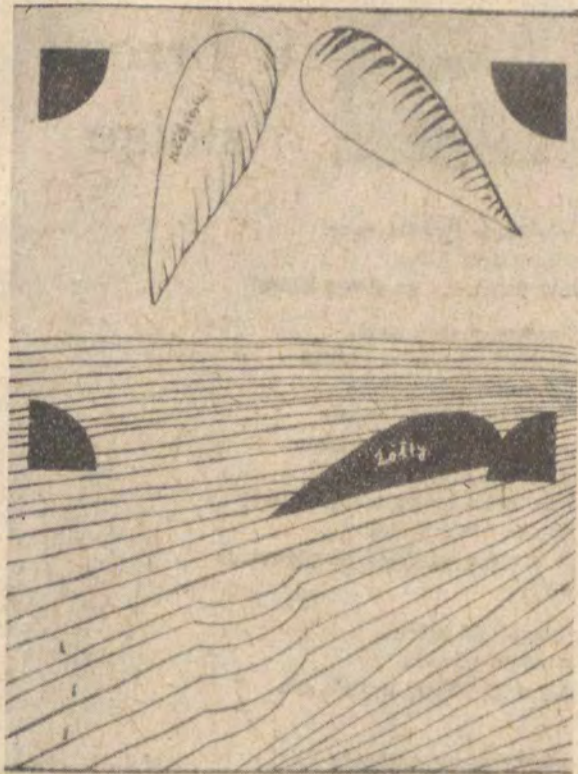
JERZY ZANOZIŃSKI

Na marginesie wystawy malarstwa Wiesława Garbolińskiego w Kordegardzie w Warszawie. Marzec 1973

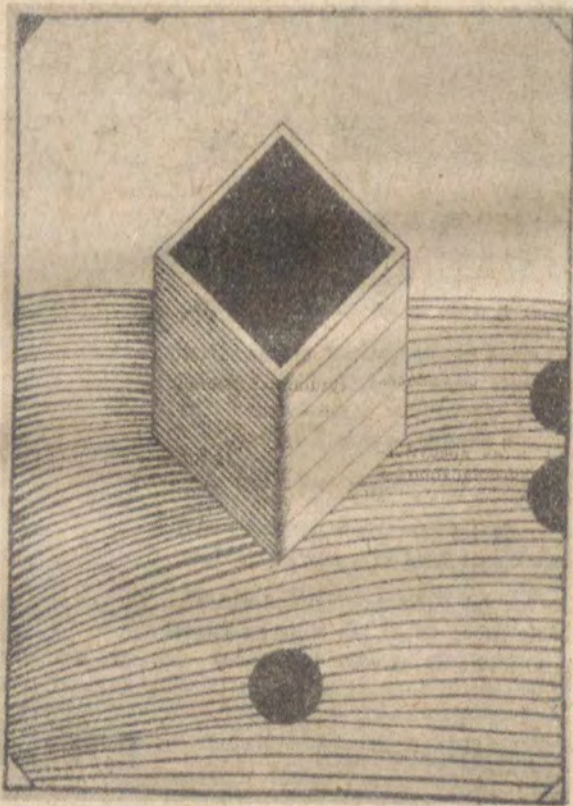


WIESŁAW GARBOLIŃSKI — „Martwa natura”, „Samotność” (olej)

STANISŁAW FIJAŁKOWSKI



STANISŁAW FIJAŁKOWSKI — grafika



STANISŁAW FIJAŁKOWSKI — grafika



Wiesław Markowski — „MUR” (olej)

Wystawa zorganizowana w ramach odbywającego się w Łodzi w 1973 roku cyklu wystaw prezentujących tendencje nadrealne i metaforyczne w polskiej sztuce współczesnej

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Rozejrzal się ów dyrektor departamentu wokół siebie, uderzył w okrytą turbanem głowę i powiedział komu należało:

— Przecież Lechistan, leżący na dalekiej północy, stanowi potęgę w dziedzinie produkcji dywanów i wszelkich tkanin artystycznych. Lechistan, chociaż to góry, przyjaźni się z nami, więc możemy sięgnąć do jego doświadczeń i pomocy i w ten sposób rozwiążemy część naszych problemów.

Przebrał się więc w europejski strój i poleciał do Warszawy. Okazało się jednak, że sława polskiej tkaniny artystycznej ugruntowała się za granicą, ale nie w Polsce Rzecznik uprzemysłowienia Szwajcarii zaobserwował w nadwiślańskiej stolicy totalne drapanie się w polityce. Nikt nie potrafił mu jednak dać wyczerpujących informacji. Wreszcie ktoś, widząc oblatany w sprawach produkcji i sztuki poradził:

— Jedź pan do Łodzi. Słyszałem, że tam coś tkają. Może akurat to, o co panu chodzi.

Pojechał.

Podjeżdżając, że nie zwracał się ani do Zarządu Aptek, ani do konsystorza ewangelickiego, ale do instytucji bliskich jego zainteresowaniom. Wierzył — nie wierzył, nikt go nie skierował ani do Muzeum Historii Włókiennictwa, ani do Zakładów „Tadka” Ajżena. Wrócił do ojczyzny, a przy pierwszej okazji wystawy polskiej tkaniny artystycznej zrobił dyr. Krysty-

PLASTYKA

mniej w pewnych kręgach) o tyle znany, że kiedy w Białymstoku oddano na złom jakąś starą maszynę, wiadomość o tym dotarła do Łodzi i w następstwie tego udało się wyjednać w MPL zarządzenie, by wiadomości o zamierzonym likwidowaniu starych maszyn włókienniczych przesyłać do łódzkiego Muzeum.

Poczęły przyjeżdżać do Łodzi maszyny, a żadna z nich nie mieściła się w przeznaczonych dla Działu Tkactwa pokoikach, nie mówiąc już o tym, że stropy w pokoikach dawnego pałacu Poznańskiego obciążone były na utrzymanie gości państwa prezesostwa oraz kilku fotelików, ale nie krosna żakardowego. Zaczęły się więc poszukiwania lokalu. Aż ówczesny konserwator zabytków, Zbigniew Ciekliński, doniósł, że kończy się produkcję w najstarszej łódzkiej fabryce, tzw. Białej Fabryce Geyera, że mieszczące się tam magazyny różnych instytucji są groźne dla zabytkowego budynku, że więc istnieją szanse wywojowania go dla Muzeum.

Budynek, służący przemysłowi 120 lat, pełen był moli i szczurów, a drewno nie wszę-

Informacje o nagrodzie pani dyrektor przyjęła do wiadomości, zaczęła się natomiast domagać prawa wystawienia większej ilości artystów. Stało na dziele. Jakąś też drogą doszła do Łodzi wiadomość, że Francuzi ostrzą sobie zęby na pierwszą nagrodę. Właśnie Jean Lurcat cieszył się na Zachodzie opinią znakomitości w swojej dziedzinie, a nie bez znaczenia był też fakt, że artysta ten sprzedał swoje gobeliny wylaczone w sklepie nielubianej pani Alice Paule, której mąż, zaprzyjaźniony z Lurcatem, odgrywał niepoślednią rolę wśród organizatorów wystawy. I oto nadszedł dzień, kiedy dyrektor łódzkiego muzeum wwruszyła w świat, szczerze zapożyczona przez Bank Polski w dewizy, Polskie tkaniny czekały już w Lozannie na ich rozwieszenie.

Na lotnisku grupa panów szuka dyrektora polskiego muzeum, ale nie znajduje. Sopranik w megafonie prosi, by Monsieur Kondratiuk zgłosił się tu a tu. Zgłasza się Konsternacja. W 1961 r. w Szwajcarii kobiety nie miały prawa głosu. A tu komisarz polskiej wystawy z tytułem dyrektora. Na wstępie niespodzianka. Ekspert zachodni obejrzał polskie tkaniny i zdębił. Tkaniny Lurcata były ładne, ale zrobione niesamowicie gładko, że znakomitego surowca, przez doskonałych tkaczy. A tu nagle polska zgrzebność góralskiej wełny,



Bolesław Tomaszewicz „Delfin”. (tkanina użytkowa)

od dziennikarzy, fotoreporterów, filmowców i dziennikarzy telewizyjnych. Wszystkich krajów, z wyjątkiem Polski.

VI Biennale odbyło się

Allach, Lurcat i Kondratiuk

nie Kondratiuk awanturę, insynuując, że to wszystko bluff i propaganda, a w Polsce żadnych tkanin artystycznych nie ma.

A właśnie był rok 1972, dwudziesty od powstania tego, co nosi nazwę Muzeum Historii Włókiennictwa, jedenasty zaś triumfalnego pochodu sztuki polskiej, inspirowanej i demonstrowanej przez to Muzeum po niemal wszystkich krajach świata.

Różniła się na początku lat pięćdziesiątych w ten sposób, że ówczesny dyrektor Muzeum Sztuki myślał o powołaniu do życia działu tkactwa przy tym Muzeum. Przez kilka lat namawiał do podjęcia się tego zadania Krystyna Kondratiuk, która była w tym mieście jedynym historykiem sztuki ze specjalnością tkactwa. Kandydatka zwlekała, bowiem zadanie, jakie jej chciano powierzyć, wcale nie było łatwe. Należało stworzyć dział muzeum, nie mając: eksponatów, lokalu, pieniędzy, personelu ani doświadczeń w tworzeniu czegoś z niczego.

Dział taki powstał dzięki poświęceniu Krystyny Kondratiuk i ówczesnego studenta, a dziś doktora Adama Nahlika. Zorganizowali dwie pierwsze wystawy: „Manufaktury włókiennicze w Polsce XVIII w.” oraz „Zaczętki włókiennicze Łodzi”.

Zaczęło się więc zwożenie różnych drobiazgów, katalogów, tkanin, modeli, które rychło stały się zaczątkiem autentycznego muzeum. Wśród nadesłanych przedmiotów znalazł się model krosna, mający osobliwą historię.

Mianowicie w roku 1912 władze miasta Łodzi postanowiły uczcić 14 urodziny następcy tronu Aleksieja Nikołajewicza, poświęcając mu model maszyny tkackiej. Wykonała go firma Greenwood przy ul. Orlej, całkowicie z brązu, z silnikiem elektrycznym, pozwalającym na uruchomienie modelu i tkanie. Na szczęście model nie opuścił naszego miasta, a to z dwóch powodów. Po pierwsze — prezdyentowi Piłkowskiemu brakło pieniędzy na wykonanie zabawki, no drugie — nadeszła wiadomość, że przemysłowcy z Kostrzyna zrobili dla cesarza podobny model, ale dwa razy większy i — ze srebra.

Taki był początek. Poczęły napływać inne darowizny, z ambasady polskiej w Waszyngtonie przywieziono dywan, mający 12 m długości, od tegoż Greenwooda — bibliotekę itd. W krótkim czasie fakt istnienia Działu Tkactwa przy Muzeum Sztuki stał się (przynaj-

dzie zostało się czasowi. Zaczęły przychodzić ekspozycje, a przychodziły w stanie odpowiadającym mentalności wysyłającego. Bywało więc, że każda część była wyciszona do polsku, wszystko ponumerowane, gotowe do ponownego złożenia. A zdarzało się, że przywożono kupa żelastwa i — robicie sobie z tym, co chcecie.

Drogą selekcji Muzeum doszło do 6000 cennych eksponatów i stało się w ten sposób jedyną tego rodzaju instytucją w Polsce, ale nie ma też podobnej za granicą. Bywają w świecie muzea tkanin artystycznych, żadne jednak nie dysponuje jednocześnie kolekcją tkanin i maszyn, w Łodzi zaś jest nadto dział historii włókiennictwa, zawierający cenne dokumenty. Poza tym, co jest osobliwością i wzorem dla podobnych muzeów w świecie, przebudowę Białej Fabryki zaczęto od stworzenia magazynów. Są to wygodne pomieszczenia, w których tkaniny wiszą na ruchomych wieszakach i można je oglądać niezależnie od organizowanych w danej chwili wystaw.

Muzeum Historii Włókiennictwa od dziesięciu lat pełni funkcję ambasadora polskiej sztuki daleko poza granicami kraju. A zaczęło się to w ten sposób, że poprzez Ministerstwo Spraw Zagranicznych przyszło w roku 1961 do Polski zaproszenie do wzięcia udziału w I Biennale tkaniny współczesnej w Lozannie. Oczywiście natychmiast zgłosiło się w stolicy kilka instytucji, niewiele mających wprawdzie wspólnego z włókiennictwem, ale dysponujących kandydatami na wyjazd do Szwajcarii. Na szczęście znalazł się w Ministerstwie dyrektor departamentu, z pochodzenia łódzianin, nazwiskiem Daniłowicz, który wiedział o istnieniu łódzkiego Muzeum i przesadził sprawę zgodnie z logiką i interesem sztuki polskiej.

Pani dyr. Krystyna Kondratiuk rozpoczęła korespondencję z organizatorem wystawy, panem Jean Lurcat i dowiedziała się, że regulamin Imprezy przewiduje nagrodę 25 tys. dolarów za najlepsze tkaniny oraz, że można zgłosić jednego artystę,

rozmaitość pomysłów, różnorodność faktury. Francuskie wymuskane tkaniny okazały się wobec polskich mdle.

Werydyk jury wydał się problematyczny. Albo raczej — z góry było rzeczą jasną, że tkaniny polskie staną się rewelacją, a nie francuskie. Więc organizatorzy czym prędzej zmienili regulamin, likwidując całkowicie nagrodę pieniężną. I mieli swoją niezbyt czystą rację, bowiem pierwsze miejsce jury przyznało Magdalenie Abakanowicz. Oczywiście małżeństwo Paulie ubiło przy tym interes, podpisując z polską artystką umowę na wyłączność prawa sprzedaży jej tkanin za granicami Polski. O, interes, szum, reklama — to rzeczy, które oni umieją robić, w przeciwieństwie do nas.

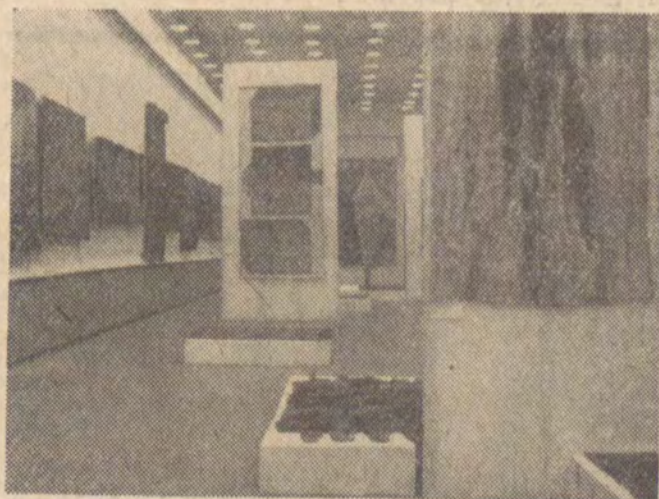
Mamy Muzeum Włókiennictwa najpiękniejsze w świecie, o którym sami bardzo mało wiemy. Nie mamy katalogu, kolorowego katalogu, który byłby reklamą instytucji tak unikalnej. W Lozannie aż roilo się

niedawno w Warszawie. Tam również nikt prawie z dziennikarzy nie interesował się tym, co było sensacją świata artystycznego... całego świata — polską tkaniną artystyczną.

Przez ubiegłe dziesięć lat Muzeum organizowało kilkadziesiąt wystaw za granicami kraju, stawiając sztuce polską i przysparzając krajowi mnóstwo dewiz za sprzedane tkaniny. Każdy zestaw wystawowy był inny, zawsze trafnie dobrany do kraju, w którym go pokazywano. W ubiegłym roku miał miejsce triumfalny pochód przez kraje arabskie. A więc przez ojczyznę dywanu, czyli tkaniny artystycznej.

W Białej Fabryce rozpoczęła się trzyletni remont. Do starych z wyglądu wnętrz doda się trwale stropy, klimatyzację i to wszystko, co jest niezbędne nowoczesnym budynkom muzealnym. Aż strach błęzczyć, czy Polacy, którzy tak niewiele wiedzą o swoim Muzeum, znanym na całym świecie, nie zapomną przez te trzy lata, że mają podobnie cenną instytucję.

JERZY URBANKIEWICZ



I Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej. Projekt ekspozycji JERZEGO FRATCZAKA

Lysygo poznał od razu, bo Lysy niewiele lat temu wyjechał z tego miasta. Dyszla — nazywali go tak w szkole, bo był długi jak sosna — i Janka Muzykanta mógłby nawet nie spotrzeć, gdyby właśnie nie Lysy, który stał obok nich. Czwierć wieku minęło od dnia ostatniego dzwonka. Dla niego ten ostatni dzwonek zabrzmiał nawet o rok później...

Siedzieli teraz wokół okrągłego stołu. Stół był stary, przedwojenny, antyk niemal, już na pierwszy rzut oka widziało się, że robił go dobry rzemieślnik.

— Stuknijmy się chłopcy! Nasze kawalerskie! Ha, ha, ha! Chyba pierwszy raz pijemy w tak sielankowych warunkach? Gospodarz najwyraźniej poczuł się rozrzewniać.

— Kusy, co się z ciebie zrobiło? Przecież ty nigdy nie byłeś trunkowy! — zaśmiał się Dyszel. — W twoje więc ręce, gospodarzu, i w ręce szanowej małżonki!

— Dyszel zaraz zaproponuje nam roberka! — Janko Muzykant klepnął Dyszla po ramieniu. Ci dwaj znali się najlepiej. Z Warszawy ich przyniosło. — Ale z Dyszlem grać nie radzę. Pierwszoligowiec. Czy wiecie, że on trzech synów wychował na łęgich brydzystów? Każdy z nich wycykalby nas do ostatniego szeląga!

— Ludzie rosna — zawołał Kusy. — Chłopaki, jak ja się cieszę, że was znowu widzę!

— Dobrze, że nie masz fortepianu. Muzykant dałby tu dobry koncert!

— Koncert? Brzdąkał kiedyś trochę...

Dyszle zaśmiał się głośno.

— Brzdąkał? Ale ty, Kusy, jesteś prawdziwy ciaptak z prowincji. Nasz Janko pół życia spędza za granicą. Spi na dolarach. Sława.

— W konia mnie robisz... — Kusy spoglądał z powątpiewaniem. — Teraz dolar leci na teb i szyję — dodał jakby mimochodem. — Mańcia — zawołał do żony — przynieś jeszcze z lodówki coś na język.

DYREK

(OPOWIADANIE)

— Może za chwilę. Jeśli macie grać w brydża... usiłowała nieśmiało protestować.

— Nie gadaj, dawaj! Stara...

— Tylko nie stara!

— Dobra, dobra... Dwadzieścia pięć lat Dyszla i Muzykanta nie widziałem. Czwierć wieku, cholera. To cud żeśmy się dzisiaj spotkali...

— Jak tam cud? — Dyszel sprowadził wszystkich na ziemię. — Dyrek umarł. Fajny był chłop. Czy wiecie, że on zrobił ze mnie ozłowieka? Siedliśmy kiedyś do brydża...

— Z Dykiem siadłeś do brydża? Nie zalewaj!

— Zebym padł trupem! On wiedział, że ja to kocham. Raz złapał mnie z kartami. Zabrał i poprosił na rozmowę. Skóra mi ścierpa, bo rozmowa z Dykiem to nie przelewki. — W co grasz? — spytał. — W brydża — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — A w pokera nie? — Za co mam grać w pokera? — Ja ci dam pokera! Ze szkoły wyrzucę! No i wiecie, co było dalej? Przyszedł kiedyś do mego starego — ojciec był wtedy burmistrzem, zjawił się jeszcze wuj Dyszla — ten magistracki urzędnik, wypili po kielichu i kart im się zachojało. Zaczęli z dziadkiem, ale wiecie, jak to z dziadkiem. I wtedy Dyrek przypomniał sobie o mnie. Jakoś głupio było mu proponować, rozumiecie, jak to jest, ale graliśmy sportowo, bez pieniędzy, a i ojciec nie miał naprzeciw. Siadłem z Dykiem i w pierwszym rozdaniu wylicytowałem szlema.

— Dyszel! Pleciesz farmazony! Szlema chyba?

— Szlema. Jak Boga kocham — szlema. Dyrek zbladł, spojrzął na mnie tak, że mnie ciarki przeszły.

— I leżeliście bez trzech!

— Co najwyżej mogliśmy leżeć bez jednej, ale impas damy się udal.

— Damy, nie damy — przerwał Kusy — ale gdzie jest ta wódka? Mańka, zaspalaś tam w kuchni, czy co, u licha?

Nowa butelka zjawiła się na stole.

Przez chwilę milczeli. Okazała, która zgromadziła ich teraz przy jednym stole, nie należała do wesółych. Słowa Dyszla wprowadziły ich w inny nastrój.

— Czekaście, nie skończyłem! — Dyszlowi najwyraźniej zaczął rozwiązywać się język. — Tęgo robra, podwójnego, wygraliśmy wysoko. I potem co drugi dzień chodziłem do Dyka. Co, myślicie, że dawał mi dodatkowe lekcje z matematyki?

— Tak truleś wtedy.

— A co miałem mówić, kiedy kazał mi milczeć jak grób? — Ty masz talent brydzowy i nie wolno ci go zmarnować. Teo-

MAREK ADAM JAWORSKI

rię musisz opanować! To jego słowa. Jakbym je dzisiaj slyszal.

— Wiecie co, chłopcy? — do głosu doszedł Janko Muzykant — ówczere wieku minęło, a mnie się zdaje, kiedy tak tu siedzę wśród was, że rozstaliśmy się wczoraj, no, powiedzmy, tydzień temu. Przecież my nawet tym samym językiem mówimy...

— Wódka. Wszystko robi wódka. Pamiętasz, Muzykant, jak spotkaliśmy się dziś na pogrzebie? Nic się rozmowa nie kleiła. Patrzyliśmy na siebie, jak obcy. Gdyby nie ty, Lysy, to Janko wsiadłby do swego fiata, ty, Dyszel, wpakowałbyś się do trabanta...

— ...i tyle byśmy się widzieli. Siedziałbyś teraz z Lysym i wspominał. Bo Lysy—przyjechał pociągiem? — zainteresował się nagle Janko Muzykant.

— Zawsze pociągami. Nigdy wozu nie kupię. Jeszcze mi życie mile. A poza tym absolutna wolność. Wy się teraz nie ruszycie, bo wam zaraz każą dmuchać w balonik. A ja w każdej chwili mogę powiedzieć adieu.

— Dyrek też nie miał wozu, a zginął w wypadku samochodowym. Szeszedziesiąt dwa lata. Mógł jeszcze pożyć.

— To był chyba najmłodszy w naszych czasach dyrektor. Najmłodszy na całe kuratorium. Ja mu też wiele zawdzięczałem. Gdyby nie on — rozkrochmalil się Janko — nigdy nie zostałbym muzykiem.

— A co? Z ciebie rzeczywiście taki wielki artysta? — Kusy nie dowierzał.

— Ty, prowincjusz! Telewizji nie oglądasz? Radia nie słuchasz? Gazet nie czytasz? — Dyszel był szczerze oburzony. — Nudzi mnie brzdąkanie. Gdy tylko w okienku zobaczę faceta przy fortepianie, naciskam guzik. I spokój.

— Tak — ciągnął Janko, jakby mówił sam do siebie — on za własne pieniądze opłacał mi lekcje muzyki.

— Teraz ty znowu czarujesz! — Kusy wyciągnął chusteczkę i otarł spocone czoło.

— A za co bym się uczył. Chowałem się w internacie. Nasz szkolny muzyk nie był nadzwyczajny, może jeszcze trochę na skrzypcach potrafił, ale jedno, co dobre: wyczuł, że fortepian mi leży, że mam słuch. Powiedział Dyrkowi. Dyrek się zainteresował i posłał mnie na lekcje do Toruńskiego, wiecie, tego z budy na Warszawskiej. Ja myślałem cały czas, że Toruński tak z dobrego serca mnie uczy. Dopiero po latach, chyba dziesięć, dowiedziałem się, że Dyrek za wszystko płacił. Kartki wysyłałem mu z podróży.

— Kartki, oczywiście, kolorowe?

Przez moment Kusy zapomniał o roli gospodarza, ale natychmiast wzrok swojej żony uspokoił się natychmiast. — Kochani — zawołał — wypijcie z moją Mańką brudzia. Dwanaście lat się z nią męczę. Kobita — miód. Żadnej awantury. W czepku się chyba urodziłem. Coś wam powiem tylko skończcie te pocałunki. No, nie tak mocno! — I po chwili: — Wiecie, że ja z Dykiem nie żyłem najlepiej.

— Boś był patentowany leń — wyrwał Dyszel. I jemu udzielił się bardziej nerwowo nastroj wieczoru.

— No, no, przyganiał kocioł garnkowi! Pierwszoligowiec zapaćkany. Ja byłem wprawdzie tylko drugoligowcem, ale jak strzelałem gole! Publiką mnie na rękach nosiła.

— Tak, tak, on ma rację. Dyrek nie lubił piłki nożnej.

— Nie lubił? Nie cierpiał! Przecież przez tę piłkę do matury mnie nie dopuścił. Zdawałem jako ekstern.

— Ale nie czujesz do niego żalu?

— Za tamtę czuję. To jeszcze pieczę. Ale za Mańkę mu wszystko daruję.

— A coż ma tu Mańka do rzeczy?

— Właśnie dzięki niemu ją poznałem. Mańka była daleką kuzynką Dyka. Kiedy zmarli jej rodzice, Dyrek ściągnął ją do siebie ze wsi. A gdyby było inaczej, nigdy nie zostałaby moja.

— I dał ci ją za żonę?

— Dał! Sam wziąłem! Nie chciał o mnie słyszeć, boczył się przez dobrych kilka lat. Ale kiedy zobaczył, że my tworzymy najlepszą parę w mieście, najgodniejszą — chciałem powiedzieć — przyszedł do nas do domu, a nawet na ślubie nie był.

— Słowo daję! Wy przecież nie wiecie o dalszych losach Dyka! Niemożliwe? Naprawdę nie wiecie? — Kusem nagle wywierał z głowy alkohol. Patrzyli na niego zdziwieni. Tylko Lysy wziął szklanekę i do połowy napelnil ją wódką, którą szybko wlał do gardła.

— Powiedz, Lysy, co było dalej!

— To ty, Kusy, powiedz! — Lysy wpił wzrok w podłogę.

— Kiedy Dyrek do nas przyszedł, znaczy się, aby się pogodzić, to już nie pracował w szkolnictwie. Przeniósł się do przemysłu. Wiecie, że on matkę, chemię, fizykę miał w jednym palcu. I właśnie dzień po tej jego wizycie w fabryce nastąpił wybuch. Dyrek wprawdzie wyszedł z życiem, ale całkiem stracił słuch i prawie zupełnie już nie widział. Ostatnie lata to dla niego wieczna cisza i wieczna ciemność. Jak w grobie... Żył w specjalnym zakładzie... Lysy, nie pij już!

Lysy wybiegł do łazienki.

— Co mu się stało?

— No właśnie! Lysy pracował w tej samej fabryce. Poprzedniego dnia zapil się i nie przyszedł do roboty. Dyrek go zastąpił.

Zapanowało milczenie.

— To znaczy — przerwał Janko Muzykant — że wybuch mógł nastąpić wtedy, gdy na stanowisku był Lysy. Czyli Lysy zawdzięcza Dyrkowi najwięcej z nas: wzrok i słuch...

— No i po tym wybuchu Lysy wyjechał z naszego miasta. Dopiero dzisiaj, na pogrzebie, znowu go zobaczyłem.

Cisze, która zapadła, zmącił z kolei Dyszel: — Słuchaj, Kusy, a ty co właściwie robisz? Nie powiedziales nam, jaki wybrales zawód. Jak widzę, powodzi ci się całkiem, całkiem...

— Takiej willi nawet ja nie mam w Warszawie — wtrącił się Muzykant.

— Co robisz? Chcecie wiedzieć prawdę? Trumny robię, ot co.

Powiało chłodem.

— Dyrek leży wygodnie. W dębowej. Dopilnowałem, żeby była w pierwszorzędnym gatunku. Odwdzięczyłem się mu za nas wszystkich. Gdybym widział gdzieś te twoje kartki kolorowe z zagranicy to też bym mu je włożył do trumny!

Janko Muzykant wstał nagle, lekko się zatoczył i uderzył w twarz Kusego. Było to tak niespodziewane, że Kusy spadł z krzesła na podłogę. Ale tylko na moment. Rozdzieliła ich Mańka.

— Coś ty, coś ty zwirował? Pianista zakichany! Ja pluję na twoją sławę, ja pluję na twój fortepian, ja mam ciebie...

— Uspokój się, to nasz gość...

— Gość! Chuligan nie gość.

— Ale na pogrzeb przyjechalismy. Po chrześcijańsku. Panno, proponuję roberka. Lysy, do roboty! — Tubalny głos Dyszla zapanował niepodzielnie.



**Mirosław
Kuźniak**

u brzegu
stojąc

u płytkiego światła nocy
te stare łęki które
znow przewożę na drugi brzeg

schorowany cień ojca
głęboko zapisany w skórze
usta matki wyostrome
gorączkową rtecją szepotu
otworzone drzwi na balkon
moje ręce uskrzydłone
aż do kości białej nieplochliwej
i języka biały metal
jak kometa wirujący po planetach
słów

te stare łęki które
z obolem wiersza
toną w głębokiej wodzie snu



**Kazimierz
Świegocki**

★
★ ★

Tutaj piechotą, tu już tylko boso,
tu patrz dziewczyny zaspanej śniegiem,
wiatr pourywał skrzydła aniołom,
kraina zimna, w ostach rośnie piach.

Posłuchaj płaczu pszczoł nie narodzonych,
zwierzęta wyszły wiatry lizać z nieba,
w śnie muchomora wyrosło sarniátko
i słowik zawisł na spirali śpiewu.

Czy śpiew początkiem może być słowika?

Znów do tej samej powracamy rzeki,
gdzie cienie koni piją chwałę jeźdźca.

Kto raz jak Nike zawiązywał sandał,
będzie przez wieki jak Nike go wiazal
w zwierciadło wody schwytyany jak w marmur.



**Grzegorz
Kościński**

Poeta
i kamień

Tak trwamy obok siebie — ja i kamień, który
przeżyje mnie po tysiąckroć. I mówimy o sobie. Ja —
jemu — on — tym, którzy przyjdą po mnie po wie-
kach. Jego pozorne milczenie jest uniwersalną mową,
przetłumaczalną na języki i impulsy wszelkich cywil-
lizacji. Nieskończone możliwości jego pamięci już
dzisiaj dają nam obraz świata sprzed tysięcy, milio-
nów i miliardów lat. Gdy poznam lepiej jego mowę
być może dowiem się o szczegółach, których nawet
nie przeczuwam. Jaszczury i plazy, które wciąż jesz-
cze żerują w jego wnętrzu nieoczekiwanie dla sa-
mych siebie natykają się na wybuchy lawy, pod któ-
rą pulsuje wciąż jeszcze ciepła magma i świetlisty
gaz mgławicy.

Zaprawdę, bliższy jest mi niż którykolwiek czło-
wiek. Wiadomości swe oddaje powoli, oszczędnie —
lecz nie można o nim powiedzieć iż jest skąpy. Na
ogół nie żąda żadnej zapłaty. Czasem — tej najwyż-
szej. Lecz ona nawet nie jest chwilą wobec jego
trwania. Jest moim bliźniakiem, starszym o Trias,
Jurę, Krede, i Słońce. Nie znam niczego, co dorówna-
łoby mu dostojnością, pięknem i mądrością.

Jest moim alter ego.
Jest mną — po mojej śmierci.

WACŁAW KONDEK — litografia

8

ELDORADO

NAD RIO GUAYAS?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

wymianie za 20 dolarów od sztuki. Dopiero z bliska poznaliśmy, że są to fałszyfikaty z koziej skóry. Ale przy odrobinie „szczęścia” można kupić i autentyczną głowę ludzką.

Po ten zakup trzeba jednak wybrać się w górę Rio Guayas, do słynnych low-ców głów — Jivaros. Nie-kiedy można też natknąć się na nie w licznych sklepikach na przedmieściu Guayaquil. Sprytni handlarze zwęszyli byznes i sprwadżają głowy dla żądnych sensacji i egzotyki turystów z USA. Jivarosi odcinają je swoim wrogom, a następnie — wypełniviwszy piaskiem — suszą w tropikalnym słońcu. Służą im one jako ozdoba w szalaszach i są jednocześnie oznaką męstwa zwycięzcy.

Wielu z Jivarosów nie widzało dotąd białego człowieka. Przed kilkunastu miesiącami głośnie było w Ekwadorze wydarzenie z jivaroskim chłopcem, który po raz pierwszy zetknął się z przedstawicielami naszej rasy. Tutejsza prasa obszernie opisywała jego wrażenia:

— Ciąła mają przezroczy-ste jak kropła deszczu — mówił o białych — i bije od nich straszliwa woń. Nawet starzec bez wachu du-si się od niej...

Czytając te słowa nie przypuszczałem, że z nie-ktorými z Jivaros spotkam się oko w oko. Co prawda byli to już ludzie nieco oswojeni z wiekiem XX.

Przed laty — w okresie wielkiej suszy — spłynęli swymi pirogami do ujścia Rio Guayas. Obecnie wegetują na otaczających Guayaquil bezkresnych mokradłach. Głód, malaria oraz staniające się z wy-czerpania psy — to jedyni towarzysze ich życia. I mimo przyjęcia wiary katolic-kiej, czczą jednocześnie swoje bóstwa. Chrześcijań-stwo akceptują tylko na ty-le, na ile jest ono zbawne z ich pojmnowaniem zjawisk nadprzyrodzonych.

Tak twierdzi m.in. ojciec Albin Leśniak, polski salezjanin, który w Ekwadorze spędził ok. 30 lat ze swego burzli-wego życia. Teraz jest w stołecznym Quito rektorem jednej z tamtejszych uczel-ni, postacią powszechnie szanowaną i wpływową. Jego wychowankiem był jeden z prezydentów, a tak-że kilku ministrów.

Ostatnio padre Albino ob-

chodził jubileusz 25-lecia pracy pedagogicznej w Ek-wadorze. Na wydany z tej okazji prospekcie obok ma-py jego drugiej ojczyzny widnieje biały orzeł na czerwonym tle z podpisem Emblema de la Republica de Polonia. Zresztą na każ-dym kroku salezjanin pod-kreśla swoją polskość.

— Jeszcze dwa—trzy lata — mówił mi — i wracam. Ostatni okres życia chcia-być spędzić na polskiej wsi, wśród polskich trosk. Marzę też o zobaczeniu brata i jego najbliższych. Mieszkają w Łodzi na Przy-byszewskiego, tuż przy Ta-trzańskieju...

Kiedy natomiast pokazał mi ich zdjęcie zlapałem się za głowę:

— Przecież to moi sąsie-dzi. Codziennie w kiosku „Ruchu” kupuję u nich ga-zety.

W Ekwadorze, natknąłem się na jeszcze dwa inne lo-dziana. Zyletki „Polsilver” i budziki. Każdy szanujący się sklepikarz ma je w swej handlowej kolekcji.

Ale powróćmy do Jivaros. Już za rok ich osady w po-bliżu Guayaquil czeka za-głada. Na ich miejscu zosta-ną zbudowane: pierwszy w tym największym ekwador-skim mieście i porcie teatr, galeria sztuki oraz filia „Volkswagena”. Będą więc musieli powrócić w górę rzeki. Tam, gdzie istnieją dziewicze dżungle, a lekkie jak piórko, słynące z ideal-nej prostoty drzewa balsa rosną w stanie dzikim. A choć balsa jest jednym z oficjalnych ekwadorskich symboli nie tutaj Jivarosom życie się tutaj pokręci-ło i zagmatwało.

NADZIEJA W ROPIE

Wynika to jasno z wielu międzynarodowych staty-styk. Ojczyzna ostatniego króla Inków — Atahualpa — figuruje tam w rubry-kach na „naj...” — „naj-większy”, „najuboższy”, „najmniejsi”, „najgorzej” itp. Z tym, że to pierwsze słowo ma tylko jedno zastosowa-nie — do eksportu bana-nów. Ekwador bowiem jest największym na świecie producentem tych owoców. Chyba jednak już niedługo przestaną one być podpora-tutejszego budżetu. W ostat-nich latach nad Rio Guayas odkryto ropę naftową. Ma ona około 1975 roku uczyni-ć z biednego równikowego kraju drugą Wenezuelę.

Tak twierdzi m.in. ojciec Albin Leśniak, polski salezjanin, który w Ekwadorze spędził ok. 30 lat ze swego burzli-wego życia. Teraz jest w stołecznym Quito rektorem jednej z tamtejszych uczel-ni, postacią powszechnie szanowaną i wpływową. Jego wychowankiem był jeden z prezydentów, a tak-że kilku ministrów.

Ostatnio padre Albino ob-

ta Jose Marii Velasco Ibar-ra — trwa nad Rio Guayas permanentny kryzys ekono-miczny. Jedyne 20 proc. do-chodu narodowego wytwa-rza przemysł opanowany prawie całkowicie przez ob-cy kapital, zaś pozostałe 80 proc. pochodzi z prymityw-nej uprawy ziemi i wycięcia drzewa. Jest to więc obok Paragwaju najbardziej za-czyna kraj tego regionu świata.

Nic dziwnego, że sprawy ekonomiczne zabierają wiele miejsca w tutejszych dzien-nikach, bez względu na po-glądy polityczne ich wy-dawców. Szczególnie wiele dyskusji wywołuje swoimi publikacjami Julio E. Es-trada.

W marcu 1971 r. opubli-kował on w największej ekwadorskiej gazecie „El U-niverso” artykuł postulują-cy między innymi odstąpie-nie Ekwadoru od postano-wień państw Grupy Andyjs-kiej. Autor głośnie publi-kacji twierdził, iż przewy-żenie krzyżu jest możli-we, ale tylko wówczas, je-żeli pozwoili się obcemu ka-pitałowi nadal inwestować w ubezpieczeniach, bankach i innych instytucjach finan-sowych oraz w transporcie i łączności.

Przeciwne stanowisko re-prezentował prezydent Ve-lasco Ibarra. Uważał on, że Ekwador musi pozostać wierny antyamerykańskim postanowieniom paktu an-dyjskiego.

LIBERAŁ I ZWOLENNIK KAPITALIZMU NARODOWEGO

15 lutego ub. r. 80-letni Jose Maria Velasco Ibarra — wskutek zamachu stanu — został usunięty z życia politycznego. Był on libera-lem i gorącym propagatorem kapitalizmu narodowego. Nie chciał zmieniać ustroju, ale pragnął zaprowadzić rzą-dy konstytucyjne i dążył do tego, aby co ekwadorskie by-ły w całym tego słowa zna-czeniu ekwadorskie.

Wiele miejsca w jego życiu wypełniała walka z Amerykanami. Prowadził ją ze zmiennym szczęściem. W ostatnich latach Ibarra dążył także do zbliżenia z Chile i Peru, państwami prze-cież chłodno nastawionymi do Stanów Zjednoczonych i nacjo-nalizującymi obce towarzystwa. Był jednym z trzech południ-woamerykańskich prezydentów, którzy odwiedzili się goście Fide-la Castro. W drodze powrotnej z Chile samolot premiera Kuby wyładował w Guayaquil.

Stary prezydent zamknął tak-że w Quito amerykańską misję wojskową, która prowadziła ja-wną działalność szpiegowską, nakazał znacznie zmniejszyć personel dyplomatyczny i konsu-larski USA (w Guayaquil konsulat Stanów Zjednoczo-nych liczył prawie 250 osób, w tym 200 agentów wywiadu), a spośród rybaków z Północy przestały odchodzić bezkarnie połowy na ekwadorskich wo-dach terytorialnych (państwo to, podobnie jak Peru i Chile, uważa, że sięgają one nie 12, a 200 mil od lądu). Musiały zapłacić ponad 1 mln dolarów za zwrot 30 kutrów złapanych na klusownictwie. Rentowna więc była dla Ekwadorczyków „wojna tuńczykowa” z USA. Lecz Ibarra musiał odejść. Tym bardziej, że wykluczał udział północnoamerykańskich kapitałów w eksploatacji dopie-ro co odkrytych złóż ropy naftowej.

Jednak i junta wojskowa gen. Lara, która go obalila, szybko przestała być lojalna wobec „Wielkiego Brata”. Dziś repre-zentuje poglądy zbliżone do wojskowych rządzących w Pe-ru.

W rozwoju handlu i stosunków politycznych z krajami socja-listycznymi widzi ona możliwość dalszego uniezależnienia się od Stanów Zjednoczonych. Przede wszystkim poważny wzrost wy-miany handlowej ma miejsce z Polską i ZSRR.

Państwo leżące nad Rio Gua-yas jest m. in. importermem pol-skiego wyposażenia do elektro-wni, a głównie samochodów dostawczych i osobowych.

W Guayaquil jeździ około 150 „Warszaw”, które są tutaj naj-popularniejszymi taksówkami. Pokazały się także pierwsze „Nysy” i „Fiaty 125p”. Te ostatnie będą montowane w Ekwadorze, a jeden z nich wygrał dwa największe rajdy samochodowe Ekwadorczycy bardzo sobie chwala produkt made in FSO. Skarżą się tylko na zbyt skro-mną dekorację nadwozia.

Ich gustom nielawo dogo-dzić. Przystrajają swoje „War-szawy” w świecidełka, wyposa-żają w sygnały, które za naci-snięciem klaksonu odgrywają całe symfonie, oblepają napisami w rodzaju: „Juanita, dla-czego mnie nie kochasz?”, „Jedź

ze mną a do nieba dotrzysz jako ostatni”.

JAK NA DZIKIM ZACHODZIE

Przedmieścia Guayaquil robią przytłaczające wrażenie. Trzcinowe budy bez okien i drzwi, przeważnie jednoizbowe. Inż. Kubicki (miejszcowy przedstawiciel „Polmotu”), z którym „War-szawę” odbyłem rajd po tym mieście, przestrzega abym bacznie uważał na aparat fotograficzny. I w biały dzień zdarzają się tu częste napa-dy. Dzieci ujrzawszy przy-bysza biegają, wołając:

— Gringo, gringo...

Wyciągają rączki i natar-czywie domagają się podar-ku. Starsi patrzają z niechęcią. Jeden z nich podbiega i żywo gestykułując, krzy-czy:

— Wy, Jankesi, potraficie tylko fotografować naszą nę-dzę, poniżać i okradać...

Każdego białego z apa-ratem fotograficznym i w jasnej koszuli — tłumaczy Kubicki — uważają za A-merikanina. A powszechnie panuje tu pogląd, że Amery-kanie są przyczyną wszel-kiego zła w krajach laticy-noskich.

I rzeczywiście, nie poma-gają żadne wyjaśnienia. Atmosfera robi się coraz bardziej wybuchowa. Wsia-damy więc do „Warszawy” i jedziemy w kierunku śród-mieścia.

Przez dłuższy czas pędzi-my uliczkami, wzdułz któ-rych stoją domki jakby żywym przeniesione z Dzikiego Zachodu. Wrażenie to potęgają jeszcze ludzie ubrani niczym w wester-nach. Zazwyczaj noszą na głowie szerokokorone „pana-my”. Ojczyzną owych kape-lusz jest właśnie Ekwador. Swą dziwną nazwę kapelusze zawdzięczają temu, że dopiero w Panamie zrobiły światową karierę.

Wśród szarego tłumu co chwila uderzają w oczy wie-lobarwnymi ubiorami In-dianie Colorados. Bardzo za-bawnie wyglądają ich jasno-czerwone cyklistówki „tle-pione z... własnych włosów. Wspólnie z Qtovalos, Jiva-ros i innymi czertonokórny-mi stanowią blisko dwie trzecie mieszkańców Ekwadoru. Jest to więc najbardziej indiański z indiańskich kra-jów.

Im bliżej śródmieścia tym twarze są coraz jaśniejsze, a życie głównie wypełnia — liczenie pieniędzy. Toczy się ono tutaj w luksusowych, supernowoczesnych gma-chach — centrum ekwador-skiego byznosu.

Na stolicę Quito — od wielu lat — patrzy się stąd jak na starą pannę. Dobrze ubraną, z manierami, lecz bezwolną i stojącą dobrze miny do każdej gry.

Wiedział o tym dobrze Velasco Ibarra. Podobnie też sądził gen. Lara, gdyż rozpoczął rządy od zapew-nienia sobie poparcia klus-ownych tego miasta. Kto tego nie uczyni, nie ma szans na dłuższe utrzymanie się przy władzy. Inna sprawa, że nie wszystko tu takie proste jak balsa. A kiedy ruszy „pełna para” wydo-bycie ropy, dojdzie do jeszcze większej ilości konfrontacji. Wówczas bowiem obok We-nezueli, Argentyny, Brazyli-i Chile — Ekwador bę-dzie miał największy wpływ na wszystko co zdział się bę-dzie w Ameryce Południo-wej.

Z niedawnym odejściem starego człowieka nad Rio Guayas — Jose Marii Ve-lasco Ibarry — skończył się 40-letni okres władzy bar-do utożsamianej postaci poli-tycznej. Właściwi gracze o losy i bogactwa Ekwadoru robią dopiero pierwsze ru-chy na szachownicy. Wśród nich na pewno nie zabraknie amerykańskich spółek naftowych i sprzyjającego im ugrupowania terrorysty-cznego — ARNE...

MAREK REGEL

Z przygotowanego do druku cyklu: „Podróże przez dwa oceany”.

POLEMIKI

POMIESZKAĆ W LUKSUSIE

Niektórym ludziom od czasu do czasu coś się tam śni — i ja również do nich należę. Pewnemu senatorowi śniło się kiedyś, na przykład, że otrzymał reskrypt Jego Ce-sarskiej Mości, dzięki któremu udało mu się (we śnie) wygrzyć Marszałka. Sen to dość typowy i nie mający nic wspólnego z teorią Freuda. Znam ludzi, którzy — cho-ciaż nie są senatorami — mówią sny podobne.

Moje sny są bardziej przy-ziemne. Śni mi się często, że ściany w moim mieszkaniu własnościowym są proste, nie odchylają się od pionu; że nie „muszę zbierać wody spod wanny, gdyż wannę mam o-budowaną; że odległość po-między sufitem a podłogą jest we wszystkich punktach jednakowa i nie trzeba spi-łowywać nóg szafy z jednej strony, aby szafa mogła wejść z drugiej. Tak mi się śni — i któż zabroni?

Okazuje się wszakże, że wolność snów jest wolnością pozorną.

Bowiem jak we śnie — nie wiedząc już, czy śnię — prze-czytałam artykuł w „Dzienniku Łódzkim” pobra Aliny Poniatowskiej: „Pomieszkać w luksusie”.

„Nie chcę mieć wykładane-go różowym marmurem base-nu kąpielowego w ogrodzie. Nie pragnę wodotrysku na dachu willi” — zaczyna się artykuł A. Poniatowskiej. Powołując się na opinię zna-jomego, który w ten mani-festujący sposób nawet w swoich pragnieniach odcina się od znużonych milione-rów. A Poniatowska wyjaś-nia zaraz, że: „Luksus (podkreślenie moje E. O.) w wersji mojego kolegi — to wykładana glazura łazienka w pospolitym M-4”.

Gdy więc po latach oczeki-wania na upragnione klucze do upragnionego metrażu, o-trzymujemy je, to stajemy natchyniamy wobec życiowej alternatywy: pomieszkać so-bie w „luksusie” czy też ra-czej odkładać na bielskiego „malucha”? Co się nam wię-ciej kalkuluje?

Oplaca się bardziej — do-brzy z nas ekonomisci! — za-fundować sobie luksus. Czyli wyłożyć łazienkę czterema rzędami kafelków zwanych glazurą, lastrиковą posadzkę w teście wymienić na z terra-coty, a podłogi w korytarzu wyłożyć płytkami pcv. Gla-zura w łazience — contra maluch? — glazura wygrywa zdecydowanie, ponieważ: „o-szczędność w malowaniu, a e-fekt wiadomy...” Wybieramy luksus, rezygnując z nieopla-calnego (w stosunku do gla-zury) bielskiego malucha. Sa-mochód, nawet maluch, jest ostatecznie fanaberią dotąd, dopóki funkcjonują Polskie Koleje Państwowe i PKS. To-ż tych, którzy: „podnoszą rękę na standard swego mie-szkanka są tysiące”. Kilka lat temu zorganizowana wysta-wa wewnątrz mieszkalnych cię-szyła się dużą frekwencją, przytacza dowód rzeczowy A. Poniatowska.

Naczelna teza artykułu brzmi:

„Wniosłem jedynie słusz-nym, ale za to bardzo perspektywicznym by-łoby wołanie o (podkreś-le nie moje E. O.) nadanie o-kreślenia „standard podsta-wowy” jego właściwej treści — nie mahianowie wykładzi-ny, nie boazerie, nie podłogi z drewnianej mozaiki, ale łazienki z umywalką i glazurą (nawet nie z bidetem) toż sa-mo w kuchni, parapety pod oknami — słowem rzeczy jak najbardziej podstawowe”.

Luksus jest — jak widać — pojęciem względnym. Przyśni-lo mi się w tym miejscu ha-sło: „Luksus — łaciński lu-xus — zbytek, prze-pych”. Słownik Wyrazów Obcych pojawił się w moim śnie jak motor — pojawił się i zagasił pozostawiając jeszcze jakieś sennie widziadło w po-staci archaicznego podjęcia:

„Luksusowy — zbytkowy, kosztowny, wytworny, pełen przepychu, dotyczący przedmiotów zbytku”.

Pojęcie luksusu zostało za-tem uściśnione i skonkretyzo-wane. Perspektywy pomiesz-kania sobie w luksusie (piuch przy myciu zębów nie do wanny, lecz do umywalki, ho, ho), otwierają się przed oby-watelami. Jedyń słuszny, aczkolwiek bardzo pers-pektywiczny wniosek głosi, że trzeba wołać. To jest du-żo.

Wyliczymy wobec tego raz jeszcze, dla podkreślenia — a-trybutu luksusu, który dzięki wolaniu, być może, uda nam się kiedyś osiągnąć: a) kafel-ki w łazience, b) umywalka obok wanny, c) parapety oki-enne, d) płytki pcv w ko-rytarzach (zamiast ksylolitu), e) parkiet w pokojach za-miast płytek pcv, f) terrako-ta w łazience zamiast lastrika.

Wtedy będziemy mogli wręczyć sobie z ulgą powie-dzieć, że mieszkamy w luk-susie.

„Czy nie ekonomiczniej by-łoby oddawać mieszkania w tym lepszym standardzie od razu?” — stawia pytanie A. Poniatowska.

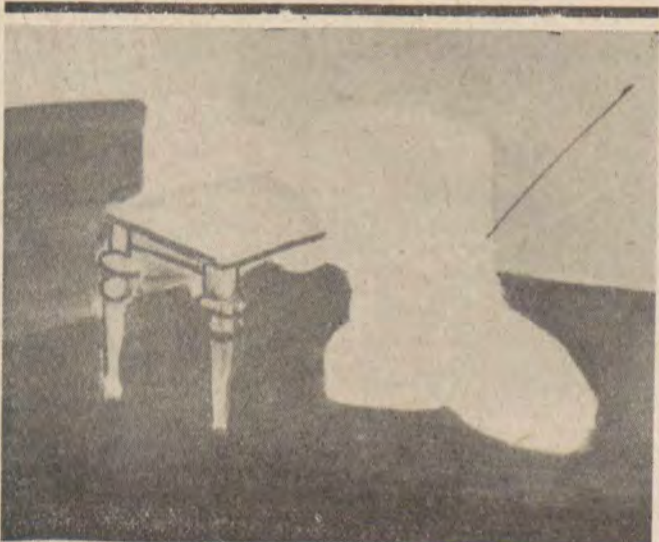
Owszem, byłoby. Tak, na pewno. Ale sytuacja nie jest dobra, ponieważ utrudniają

„bariera w postaci braku po-trzebnych materiałów”, i na domiar złego, budowlanych demoralizują kandydaci do pomieszkanka w luksusie (tra-dycyjne pół litra dla majstra), ułatwiają sobie swój pry-watny przyrządek luksusu na lewo. Poza tym, chociaż: „wy-soki standard to nie tylko łazienka”, ale: „także meble, tapety, to także zmiana pod-łóg”, to niestety: „w tych dziedzinach nasze usługi znaj-dują się w zarodku”.

EWA OSTROWSKA



LESZEK RÓZGA — „Dwa miasta” (grafika)



JERZY DERKOWSKI — „Akt” (olej)



Wieczory z Teatrem im. Majakowskiego

stego sprytu kobiety. Albo ile kuzinowi osiągnął długą smiałością, a przecież świadomie kontrolowanych przerysowań A. Laziarew w roli najstarszego syna Wanuszyna — Konstantego!

Ze sztuki Broszkiewicz różniła się w wykonaniu aktorów. W. Samojułowa, nie dlatego, że zagrała o centralną rolę Mikolaja Kopernika, będącą w wykonaniu całej konstrukcji dramaturgicznej. Obrasta mitem postaci wielkiego astronoma mogła łatwo przyswoić aktorowi swym ciężarem, narzucić mu choć poszukiwań w kierunku historycznego podobieństwa. Samojułowa potrafił jednak odciać się od takiego ujęcia roli. Jego Kopernik był przede wszystkim człowiekiem z krwi i kości, z wszystkimi wadami i ułomnościami, a jednocześnie z zachowaniem uporem w dochodzeniu prawdy życia. Świetnie skonstruowana z Kopernikiem postać biskupa warmińskiego Joannesa IV Dantyszka, nakreślił A. Romaszyn.

Moskiewski Teatr im. Włodzimierza Majakowskiego zaprezentował publiczności łódzkiej (a przede wszystkim warszawskiej) trzy sztuki, wyznaczające szeroki wachlarz jego możliwości. Klasyczna sztuka rosyjska z początku XX wieku stanowiąca bogaty materiał dla wykazania kunsztu aktorskiego, współczesna sztuka polska o tematyce historycznej i poemat sceniczny owanian romantyzmem rewolucyjnym — złożyły się w pewien układ, dzięki któremu sporo dowiedzieliśmy się o tym zasluzonym i mistrzowskim teatrze.

Było to aktorstwo przedniej marki, odznaczające się wysoką sprawnością warsztatową, świetnym postawieniem głosu, dużą dyscypliną ruchu scenicznego, a przy tym pełne głębokiego zaangażowania, pasji i wewnętrznej skupienia, mającego swe źródło w poczuciu wagi swej artystycznej misji. Czy tradycyjnemu w konwencji? Przede wszystkim DOBRE.

Mysle, że długo pamiętać będziemy postać żony Wanuszyna — Ariny w interpretacji N. Ter-Osłpjan. Nieefektownymi pozornie środkami aktorka wydobyla całe bogactwo cech charakterystycznych tej starsi, skłopotanej, niby nieskompromisowanej, a przecież nie pozbawionej swol-

nie wspomnieć również znakomite odegrywane, pełnej poetyckiej prostoty sceny między Mieliecią (J. Laziarew) i Pastuszka (S. Niemolajewa).

Ta garść przykładów wydobytła spośród innych niemal równie świetnych kreacji wystawiła jak najlepsze świadectwo sztuce aktorskiej, jaką zdemontrowała goście radziecy. Byłoby jednak jednostronnością sprawozdać zalety teatru z Moskwy do kunsztu aktorskiego.

Stosunkowo najmniej zaznacza się ingerencja inscenizatora w tekst w przypadku „Konca księgi VI”. Tu sam autor określił granice umowności, stworzył przewrotną sytuację, w której toczy się bezpośredni dialog między Doktorzem Mikolajem i Joannesem, choć jeden z nich znajduje się w swoim domu, a drugi w pałacu biskupim.

Bardziej arbitralne wkręcenie reżysera w tekst i przestrojenie go na inną nutę miało miejsce w „Dzieliach Wanuszyna”. Inscenizator wyszedł ze słusznego założenia, że sztuka ta zagrała zgodnie z konwencją przysianą jej przez autora traciłaby starzyzną i byłaby nieznośna. Z walną pomocą kompozytora muzyki reżyser potrafił całość (może nie zawsze dośk konsekwentnie) komediowo. Małe dramaty Wanuszynów nikt już dziś nie wzrusza, mogą co najwyżej śmieszyć.

Interesująca próba zarówno w planie dramaturgicznym, jak i inscenizacyjnym, była adaptacja wczesnej powieści Fadijewa „Kłeska” (napisana w 1926 r.). Autorzy adaptacji zamienili realistyczną narrację Fadijewa w widowisko poetyckie, złożone z krótkich na ogół fragmentów, czasem wręcz black-outów, punktowane muzyką i światłem, o prawie tanecznym miejscami ruchu scenicznym.

Cechą wszelkiej prawdziwej sztuki jest dyskusyjność. Tak ma się rzecz i z Teatrem im. Majakowskiego. Nie ze wszyst-

kim chętno się z nim zgadzać. Z pewnością różnimy się w poglądach na funkcje scenografii. Ale z podziwem i szacunkiem przyjmujemy technię każdego ze spektakli gości radzieckich wysoko umiłowanie ideaowa, wielkie umiłowanie sztuki teatru i wstrząsanie sceny. Trzy wieczory z tym znakomitym teatrem były równie wzruszające, co pożyteczne.

Moskiewski Teatr im. W. Majakowskiego (wysługi gościnnie w sali Teatru Nowego w Łodzi, 23-25. III. 73; Siergiej Najdiolnow „Dzieci Wanuszyna”; Inscenizacja i reżyseria — A. Gonczarow; scenografia — N. Epow; opracowanie muzyczne — I. Mejerowicz. Jerzy Broszkiewicz „Koniec

księgi VI”; przekład na rosyjski — Jan Bereznicki; inscenizacja i reżyseria — A. Gonczarow i E. Radomyslenski; scenografia — A. Okun; opracowanie muzyczne — I. Mejerowicz; Aleksander Fadijew „Kłeska”; adaptacja — M. Zacharow i J. Prut; inscenizacja i reżyseria — Marek Zacharow; scenografia — W. Lewental; muzyka — A. Nikolajew.

„ZACHOWAMY ŁÓDŹ WE WDZIĘCZNYM WSPOMNIENIU”

Andrzeja Gonczarowa, kierownika artystycznego Moskiewskiego Teatru im. Włodzimierza Majakowskiego, zastaliśmy w przerwie spektaklu „Kłeska” za kulisami.

— Przede wszystkim prosilibyśmy o parę słów o sobie.

— Studia artystyczne rozpoznałem w 1936 roku w słynnej moskiewskiej uczelni WGIK na wydziale aktorskim. Później przeniesiono mnie na reżyserię wojsową jako ochotnika. Byłem ranny, przeżyłem blokadę Leningradu, po czym zacząłem pracę w teatrach frontowych. Z takim właśnie teatrem IV Frontu Ukrainy znalazłem się w 1945 r. po raz pierwszy w Polsce, w Białymostku i Zambrowie. Po wojnie pracowałem jako reżyser w Moskwie: w Teatrze Satyr, Teatrze Filmu i „Aktorów wreszcie w Teatrze „Na Małej Bronnej”. Od 1967 r. jestem kierownikiem artystycznym Teatru im. Majakowskiego. Łącząc te obowiązki z pracą pedagogiczną.

— Teatr im. Majakowskiego ma wspaniałą tradycję. Związane są z nim znakomite nazwiska

Wsewoloda Meyerholda, Mikolaja Pogodina i Mikolaja Ochłopkowa. Jak scharakteryzowałby pan jego linie ideowo-artystyczną?

— W płaszczyźnie politycznej i społecznej teatr nasz służył i służy rewolucji i partii. W kategoriach artystycznych w centrum uwagi teatru był zawsze człowiek i jego postawa wobec podstawowych zagadnień wspólczesności. Człowiek i współczesność — to jakby nasze zawołanie bojowe.

— Jakże najciekawsze realizacje ma w swym repertuarze Teatr im. Majakowskiego?

— Obok trzech sztuk, które pokazyaliśmy w sali gościnnej Teatru Nowego publiczności łódzkiej, mamy wciąż jeszcze w repertuarze zrealizowaną przez Ochłopkowa „Medec” Eurypidesa, „Rzucaną historię” scenizacji — „Duma o Brytannie” (jest to zrealizowana na wzór ludowej byliny sztuka o wosce Brytannie, która przez dłuższy czas swoimi tylko silami dawała odpór kontrorewolucjonistom Denikina) i musical

cal amerykański „Człowiek z Lamanczy”.

— A plany na najbliższą przyszłość?

— Zamierzamy wystawić „Dialogi z Sokratesem”, sztukę, którą w oprac. o Platona napisał A. Radziński. Myślmy dalej o adaptacji scenicznej powieści Gorkiego „Klim Samgin” oraz świeżo opublikowanej powieści Abramowa. Myślmy także o którejś ze sztuk Jerzego Broszkiewicza, kierując się powodem, jakim u publiczności radzieckiej cieszy się „Koniec księgi szóstej”.

— Jakie wrażenia wywoła zespolenie Teatru im. Majakowskiego z Łodzi?

— Miałem wspaniałą publiczność, z którą w ciągu czterech wieczorów zawarliśmy całkowite porozumienie. Aktoży nasi zwierzali mi się, że grają tu, nie odczuwają żadnej różnicy w porównaniu z publicznością moskiewską, mimo że istnieje przecież bariera językowa. Widocznie udało się nam przysłać do was z ludzkimi sprawami przekazywanymi prostym językiem.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



FILM

zawartość. I tak właściwie to na tej ekspozycji film mógłby się zakończyć, jego wartość intelektualna na tym bowiem się zaczyna i kończy, cała daliza a zasadnicza rozrywka niewiele bowiem rzecz wzbogaca.

Panie do urzędu wkraczają, urzędnicy, zwłaszcza ten starszy — znawca zawodu i ludzi — nie dadzą się przekupić, choć panie czynią takowe próby. Ofiarują upominki, alkohole, stawiają śniadanko, ba, młodszą „cud-dziewczyną” ofiarowuje nawet swe ponętne wdzięki młodszemu urzędnikowi, który ze względu oczywiście na brak zawodowych li tylko doświadczonych, chętnie ofiarę tę przyjmuje. Warto tu na marginesie zauważyć, że jak na współczesny polski film przystało, nagosę i w tym filmie występuje w pełnej obfitości i jak zwykle pozbawiona jest krzyki erotyzmu czy pikantierii, jest to jest ozdobnik w jakości i smaku wspaniały.

Gdy wszystkie te zabiegi nie pomagają, starsza dama wzywa na pomoc męża, pana wpływowego, który po przybyciu błyska nawet przed oczyma celnika jakas legitymacja — prosi, odwoluje się do sumienia urzędnika-człowieka,

DRAMAT W URZĘDZIE CELNYM

matu psychologizmo-obyczajowego, jakim w intencjach autorów miała być „Rewizja osobista”, trwa w ciągu kilku godzin na przejściu granicznym w urzędzie celnym. Naprzeciw siebie stają dwaj celnicy i wracające z zagranicznych wojaży dwie damy i młody chłopiec. Dany podróżują Fiatem, w trakcie akcji rodzi się podejrzenie, iż gdzieś tam w Europie dokonany zamianę Fiata 125-p na oryginalne włoskie wydanie tegoż przedmiotu, jeśli nie zbytku, to na pewno luksusu. Podejrzenie to jednakowoż nie jest kluczowym momentem rozwiązania całej dramatycznej akcji, gdyż panie podejrzane są od razu, w oglądzie i generalnie. Dlaczego? No cóż, już w ekspozycji, gdy jeszcze biwakują przed polską granicą i gdy przygotowują się do jej przekroczenia, widzimy je w otoczeniu wszystkich atrybutów zachodniej cywilizacji, reprezentowanej jednak głównie przez przemysł konfekcyjny — rękawiczki, piękne, na polskie warunki, drobny stos efektownych opakowań, o których nabytne nasz handel i jego klienci marzą, pozostawiają owe panie na górskiej polanie jeszcze przed granicą, po co mają kląć w oczy panów celników, ważna jest przecież w końcu ich

wreszcie krzyczy i grozi. Rzecz kończy się dramatycznie i efektywnie, jednak niegroźnie dla wszystkich zainteresowanych, a widzów ma nastroje optymistyczne. Rośnie nowe pokolenie, które brzydzić się będzie rodzicami, ich konsumpcyjnymi postawami i zakłamaniami moralnymi.

Poza tą ideą, wszystkie inne, zawarte w opowiedzianej anegdocie, nie grzeszą ani jasnością celu, ani jakością intelektualną. Karty odkryto już na początku, wiadomo z kim mamy do czynienia, zachowania przewidywalne, duszne rozmovery starszej damy i jej małżonka z celnikiem śmieszka banalem, cieleśnie igraszki młodej damy z celnikiem — rówieśnikiem też mało satysfakcjonują.

Jaki cel filmowi temu przyświecał — nie wiadomo. Dobry pomysł zamkniętej sytuacji psychologicznej rozmyto w banałach stów, zachowań i reakcji. „Rewizja osobista” zrobiła autochry, który w swym pierwszym filmie okazał się mistrzami Klumatu i psychologię, tu nie poradzili sobie nawet z prowadzeniem aktorów. Jak to wytłumaczyć — nie wiem.

EWA NURCZYŃSKA

LEKCJA w Cardiff...

to nie tylko lekcja dla piłkarzy, chociaż i o nich tu będzie mowa. Zamieszczenie jakie wywołały przed meczem z Walią redakcja sportowa TV i prasa codzienna skłania do pewnych refleksji. Nie chodzi mi o naigrzanie się z optymistów — a widzicie?, a nie mówiliśmy?! — lecz o społeczne zastanowienie się nad negatywnymi skutkami wprowadzania szerokiego rzesz kibiców (a kto w końcu nie jest kibicem?) w stan nieomal powszechnej psychozy, od której do totalnej frustracji po przegranej jest tylko jeden krok.

To co napisałem brzmi przesadnie, ale postaram się nie być gołosłownym. Wiadomo było od początku, że wylosowaliśmy miejsce w bardzo silnej grupie eliminacyjnej. Wiadomo było, że mimo zdobycia złotego medalu w Monachium nasze piłkarstwo nadal oscyluje w pobliżu nieco mniej niż średniego poziomu europejskiego. Ten niewątpliwy i w ładnym stylu osiągnięty sukces, ze szkoda dla naszej piłki nożnej, rozdmuchano do niemożliwych granic. (Zresztą nie pierwszy to wypadek tego typu — przypomnijmy powrót Fortuny z Sapporo). Wiadomo było, że nasi piłkarze po zimowej przerwie są bez formy, bo mecz z USA był żadnym sprawdzianem.

I w tej sytuacji, kiedy to najprostszym skojarzeniem oczywistych faktów skłaniało do, co najwyżej, powściągliwości, rozpętuje się całą kampanię, gdyby ocenę techniczno-organizacyjną stronę wszystkich tych poczynił, to trzeba by re-

nosi numer koineryzka.

Wiemy też, że szeregi kandydatów do reprezentacji Wali przetrzeźwiali kontuzje (cieramy rece, fajnie jest), że nie mają formy i większość z nich w swoich klubach siedzi na ławce rezerwowych. No i najważniejsze, że nie są z sobą zgrani, bo spotkają się dopiero razem w szatni przed meczem. A my wiadomo: zgrupowania, mecze kontrolne, naukowe metody.

I wreszcie Nanian Park. Cały kraj przed telewizorami, kamera za studio pokazuje wymiecione z ludzi warszawskie ulice. Za chwilę misterium, ludzie chorzy ze zdenerwowania. Rany boskie, co będzie jak przeżyjemy? Co to będzie, co to będzie...?

I widzicie Państwo co było. I co zostało? Katzenjammer i zażenowanie. Przegrać nie wstyd, ale w takim stylu wstyd naprawdę. Trener Górski tuż po meczu (chyba jeszcze w szoku) mówi, że nie ma pretensji do drużyny. Na drugi dzień czytam jego oświadczenie, że drużyna zawodowa. Redaktor Ciszewski odwołuje się do mądrości ludowych. „Jak się bardzo chce, to nie chce wyjść”.

Otoż nie to. Trzeba umieć, bo chcieć można wiele. Bardzo wszyscy chcieliśmy i trzymaliśmy kciuki za naszych chłopców. Ale nie żyjemy wiecznie w świecie złudzeń i pobożnych życzeń. Prześniemy wierzyć w magię strategii, zbaawianą rolę zgrupowań, szukanie klucza do zwycięstwa w ćwiczeniu wariantów taktycznych. Widzieliśmy na ekranach co zostało z tych taktycznych założeń. Walijszczykowie nie dali nam nawet piłkę specjalnie pokopać. I możemy mówić o szczęściu, że nie było cztery do zera.

Sport jest rzeczą piękną i pożyteczną. Ze sportem w ostatnich latach zaczyna się dziać coś niedobrego. Nie myślę nawet o tych wszystkich brudach, lecz o atmosferze. Coraz większego zacietrzewienia, jakiegoś dziwnie odmiany szowinizmu na różną skalę. Często nawet małomiasteczkową. Cieszą nas wszystkich zwycięstwa

TV — SPORT

naszych sportowców, jesteśmy dumni kiedy rozstawiają imię Polski w świecie. Ale, na miłość boską, nie róbmy z tego wszystkiego narodowego dramatu. Nie wpadajmy w euforię przed każdą olimpiadą, mistrzostwami świata czy pucharem, choćby to nawet był puchar zdobywców pucharów.

Potrzebny nam jest spokój, pogoda ducha, dobre samopoczucie i zadowolenie z tego co wszyscy na co dzień robimy. Panowie ze sportowej redakcji TV, nie wstawiajcie nam, że najważniejszy jest problem czy Lubanski strzeli gola? Mam nadzieję, że lekcja w Cardiff czegoś was nauczy. Tego wam życzy przed następnymi spotkaniami nie tylko z Walią i Anglią.

JAROSŁAW TARNO



JERZY KRAWCZYK
— „Teoś, nie bliźnuj”
(olej)



DORĘCZYCIELSTWA ROZKOSZE

Umiejętność łączenia pracy z rozrywką jest wielką sztuką. Ale nie jest wcale sztuką trudną. Doręczycielka Grażyna S. już po trzech miesiącach pracy na poczcie, potrafiła zręcznie godzić swe obowiązki zawodowe z barwnymi urokami zabawy.

Pewnego pięknego poranka, po wypiciu w zaprzyjaźnionym gronie wspólnie czterech butelek wina słodkiego marki dotychczas nie ustalonej, udała się na służbę. Służba na rauszu jest niewątpliwie atrakcyjniejsza, niż służba na trzeźwo. Nawet torba z listami i przekazami pieniężnymi wydaje się wówczas lżejsza, napotkani przypadkiem ludzie sympatyczniejsi, a świat w ogóle wspanialszy. Nic więc dziwnego, że będąc w stanie niewąskiej euforii, Grażyna S. bardzo żywcem odniosła się do propozycji niejakiego Stefana R. Zaprosił on ją do mieszkania swego kolegi w celach filatelistycznych. Inni słowy poderwał na znaczki, ale nie na swoje, lecz te, które rozkoszna doręczycielka miała w swojej służbowej torbie. Oczywiście nie odbyło się to w sposób tak trywialny, jak autor tego tekstu próbuje tu sugerować. Po prostu Stefan R. podszedł elegancko do doręczycielki na ulicy i spytał wtywnie, czy nie ma przypadkiem do niego listu od brata z wojska. Na co ona odpowiedziała: niestety, nie ma, proszę się. Na co on odpowiedział: dziękuję, zaczekam. Na spokojnej balukiej uliczce powiało Wersalem.

Czyż wypada się dziwić, że

spotykając na swej drodze kawalera o tak wykwintnych manierach, Grażyna S. skorzystała skwapliwie z zaproszenia na chatę. Tam natychmiast pojawiło się szkło, taśma i zaczął się raj na kółkach. Wiadomo, bankiety na Drewnowskiej mają swoją ustaloną renomę.

Świadkowie zeznają potem przed sądem, że widzieli doręczycielkę, rozkosznie figlującą na tapeczanie. Rycerz jednakowoż zaprzeczy temu, owszem, zapraszając Grażynę S. do kolegi, miał na względzie zbliżenie cielesne z przedstawicielką urzędu pocztowego - telekomunikacyjnego, lecz z pewnych przyczyn do tego nie doszło. Jako, że dla meritum sprawy nie ma to istotnego znaczenia, uchylamy pytanie.

Co było dalej? Dalej zabawa obfitowała w coraz bardziej pikantne szczegóły. Można stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że była to zabawa szampańska. Dobrano się doręczycielce do torby i zaczęło się zbiorowe czytanie listów. A czytanie cudzych listów, to fantastyczna zabawa, uśmiech się można do rozpuku. Ale sprawcami nie powodowały tylko zainteresowania czyste epistolarne. Otwierając listy krajowe, szukali w nich złotych. Dolarów szukali w listach zagranicznych. Aby zbytnio nie facygować doręczycielki, wesola kompania resztę listów zwyciężajnie wrzuciła do ognia. Kompania, gdyż zabawa toczyła się nie tylko w duecie.

Kiedy pod wieczór zmęczeni biesiadnicy legli pokotem, Grażyna S. — jak zeznała przed Sądem — wyszła z chaty i spostrzegła, że zniknęło jej z torby ponad 16 ty-

sięcy zł. Były to przeważnie pieniądze przeznaczone dla rencistów. Wówczas, zamiast na pocztę, udała się na milicję powiadomić, że ją okradziono. Tak zeznała. Milicja nie ma jednak zupełnie zrozumienia dla bajek, legend, głędz i gawęd ludowych. Prokuratura również. Przy okazji przeprowadzono rewizję u rzekomo poszkodowanej. Znalaziono 175 kart, nie doręczonych adresatom. Pieniądzy, niestety, nie znaleziono. Stefan R. przyznał, że wziął je niejako w ajencję. Ponieważ jednak nie chciał mu się zmieścić do kieszeni, schował je na podwórzu w słoje desek. Niestety ktoś je stamtąd ukradł. Widocznie złodziej jakiś parszywy.

Stefan R. wcale tych pieniędzy nie chciał dla siebie. On jest stworzony do celów wyższych. Jeśli czegoś chciał od Grażyny S., to tylko miłości. Sąd miał na osobę Stefana R. całkowicie odmienny pogląd. Sąd uważa, że kierowały nim raczej niskie pobudki i chęć zysku. Dowodzi tego choćby taki drobiaz, że jeszcze tego samego wieczoru uczłował on w „Arkadii”. gdzie uiszcł zupełnie słony rachunek za kolację. Ponadto żona swej, która się nieoczekiwanie zjawiała po alimenty, wręczył wielokrotnie tego wieczoru 500 złotych. Jak na człowieka unikającego skutecznym pracy, taka wielka hojność rzuciła cień podejrzania.

Sąd nie dopatrzył się w tej sprawie zbyt wielu okoliczności łagodzących dla oskarżonych. Rozkwit życia towarzyskiego w czasie pracy został surowo oceniony.

KAROL BADZIAK

Tego dnia, kiedy na stadionie LKS reprezentacja Polski grała z drużyną USA, moi znajomi znaleźli się na trasie prowadzącej na stadion. Mecz ich nie interesował, byli głodni, weszli więc do „Kolejowej”, średnio eleganckiej restauracji u zbiegu ulicy Zeromskiego i Kopernika. Do obiadu chcieli zamówić po „pięćdziesiątce”, ale skończyło się tylko na dobrych chęciach.

— Wódki dziś nie ma — powiedziała kelnerka.

— To duże piwa — zamówili znajomi.

— Piwa też nie podajemy — usłyszeli w odpowiedzi.

Okazało się, że od godz. 12 do godz. 19 w „Kolejowej” wprowadzono tego dnia zakaz sprzedaży alkoholu. Rozczarowali się nie tylko moi znajomi, ale i stali bywalcy „Kolejowej”,

BUTELKĄ GO!

„Kaprysu”, „Słonecznej” oraz klienci sklepów monopolowych i kiosków z piwem, znajdujących się na trasie do stadionu LKS.

Wiadomość tę przyjąłem w pierwszej chwili z aprobatą. Chodził przecież o spokój na stadionie. Ale kiedy dowiedziałam się, że już od wiosny ubiegłego roku w czasie meczu nie sprzedaje się wódki i piwa w okolicznych sklepach i kioskach, zaczęłam się zastanawiać, czy jest to rzeczywiście metoda na zlikwidowanie chuligaństwa na trybunach. Bo skąd wzięła się butelka, którą dostał w głowę dziewiętnastoletni kibic na meczu Polska — USA? Odpowiedź jest prosta. Ktoś ją kupił na przykład w sklepie monopolowym w śródmieściu. Myśląc logicznie, acz niepełnie rozsądnie można by wprowadzić w dniu meczu piłkarskiego zakaz sprzedaży alkoholu również w śródmieściu, albo i nawet w całym mieście. Tylko, że jeśli ktoś będzie chciał wziąć wódkę na stadion, to kupi ją dzień wcześniej. Wszelkie zakazy mają bo-

wiem to do siebie, że ludzie szybko uczą się je obchodzić.

Wniosek stąd prosty: o spokój w czasie meczu trzeba dbać na samym stadionie. Pisałam niedawno o chamstwie kibiców i nie chciałabym do tego wracać, ale alarmujące wieści, jakie po meczu Polska — USA poszły ze stadionu LKS na cały kraj, dowodzą, że temat to ciągle aktualny i nie wystarczy już tylko odwoływać się do kulturalnej i spokojnej części widzów. Trzeba szukać bardziej radykalnych sposobów walki z chuligaństwem na stadionach.

Wszelkim wyrykiem na trybunach sprzyja brak organizacji i porządku na stadionie. Są wprawdzie porządkowi, milicja, ormowcy, przez megafony apeluje się do kibiców o właściwe zachowanie, ale weźmy choćby prosty przykład. Wszyst-

kie miejsca siedzące są nurażone, ale jeszcze nigdy nie wdziałam, aby ktokolwiek tego przestrzegał. Wiecej, w sektorach, do których sprzedaje się bilety na miejsca siedzące można zobaczyć wielu stojących. Fakt taki można wytłumaczyć tylko w jeden sposób: sprzedaje się więcej biletów niż jest miejsc na trybunach. Taka sytuacja nie sprzyja porządkowi. W ścisłości i przepychaniu szybciej dochodzi do konfliktu, do niepotrzebnej wymiany zdań. W tłoku i bałaganie łatwiej jest o anonimowość, łatwiej można się ukryć, trudniej dostrzeć porządkowym i milicji do chuliganów.

Opuszczający stadion kibice stratali czternastoletniego chłopca. Iu ludzi go podeptało, nie wiadomo i nie będzie wiadomo. Znana jest natomiast przyczyna tego incydentu. Ciasne, niewygodne, a ponoć nawet niegodne z przepisami wyjścia ze stadionu. Czy trzeba było aż takiego tragicznego wypadku, żeby to zauważono? Czy organizatorzy piłkarskich emocji na stadionie LKS nigdy dotąd

SPORT

nie przyjrzeni się w jakich warunkach, w jakim kosztownym ścisłu publiczność opuszcza stadion? Ale my najczęściej udajemy, że wszystko jest w porządku tak długo, aż dojdzie do wypadku. Smutne to, ale pewnie przyjdzie nam poczekać na wypadek na jezdni ulicy Karolewskiej albo pod mostami przy dworcu Kaliskim, żeby MPK zajęło się rozwiązaniem komunikacji przed i po meczu.

Wypadek w bramie stadionu na szczęście nie zakończył się tragicznie. Chłopiec czuje się już lepiej o czym doniósł nam red. Władysław Lachowicz z „Głosu Robotniczego”, który razem z kilkoma piłkarzami LKS złożył mu wizytę w szpitalu. Na ten piękny gest zdobyli się jednak najmniej winni. Ale problem nadal pozostaje nierozwiązany. Może się przecieć zdarzyć, że na następnym meczu znów ktoś będzie stratalony lub znów ktoś dostanie butelką w głowę. I co wtedy? Nie oszukujmy się, apele o utrzymanie porządku kierowane do spokojnej i kulturalnej części widowni niewiele pomogą. Prywatna odwaga kibiców może okazać się skuteczna tylko wtedy, jeśli będzie poparta autorytetem milicji. Ktoś powiedział, że trudno ścigać na stadion całą milicję Łodzi. Pewnie, że trudno i nie widzę takiej potrzeby. Gdyby jednak milicjanci i ormowcy zamiast spacerować po bieżni, znajdowali się również wśród kibiców na trybunach, gdyby mieli warunki do swobodnego poruszania się między publicznością na widowni, pewnie byłoby mniej tych „odważnych” co rzucają butelką i więcej tych, którzy zdobyliby się na odwagę interwencji.

Wiemy o co chodzi. Na łódzkim stadionie musi być porządek, musi być kulturalna, sportowa atmosfera. Z każdej sytuacji są wyjścia, trzeba tylko umieć je znaleźć i nie poprzestać na gadaniu, ale wziąć się do rzetelnej roboty. Samymi zakazami nikt jeszcze niczego nie zatłwił.

BOGDA MADEJ

SŁAWA Franciszka Liszta

Nazywano go wówczas „najwspanialszym kochankiem Europy”. Krażyły o nim legendy, otaczała go atmosfera uwielbienia, podziwu i skandalu. Jego wrogowie rozpuszczali wieści, że posługuje się magią i jest zwykłym szarlatanem. Jako postać osobliwa, geniusz, kobieciarz i szarlatan wszedł do niejednej szmirawatej powieści czy kiczowatych filmów.

Ferené Liszt urodził się na Węgrzech w rodzinie księzkiego urzędnika podatkowego. Talent muzyczny przejawiał bardzo wcześnie. Gdy mały Ferené ma lat dziewięć daje już pierwsze koncerty fortepianowe, kiedy ukończył lat czternaście występuje w salach paryskich jako cudowne dziecko. Komponuje mając lat kilkanaście. Nie ma jednak szczęścia do oper. Jego jedyna opera „Don Sanchez” po trzech wystawieniach zostaje zdjęta z afisza.

Gdy w roku 1831 dwudziestoletni Liszt słyszy grę genialnego skrzypka Niccolò Paganiniego marzy, aby zostać takim samym wirtuozem. Ćwiczy teraz przy pianinie po pięć godzin dziennie. Zwierzał się w tym czasie

jednemu ze swych przyjaciół:

„Jeśli nie zwariuję, zobaczysz mnie jako mistrza”.

Koncertami w Wiedniu w roku 1839 Franciszek Liszt rozpoczyna okres wielkich wędrówek muzycznych.

Kobiety odgrywały zawsze dużą rolę w jego życiu. Opowiadał o nim najprzeróżniejsze historie. Starał się podobno o względy słynnej i pięknej awanturnicy Loli Montez, kochanki bawarskiego księcia Ludwika I, mówiono, że jakaś rosyjska hrabina chciała go zastrzelić powodowana zazdrością, że jakaś inna dama wysokiego rodu zaszła z nim w ciążę. Dwie spośród wszystkich kobiet wywarły niewątpliwie wpływ na życie i twórczość Ferenca Liszta — jedna to Maria hrabina d'Agoult, z którą łączyła go miłość i przyjaźń.

Drugą kobietą, z którą przez kilkanaście lat łączyły go silne więzy, była Polka, Karolina z domu Iwanowska, księżna Sayn-Wittgenstein. Poznał się w Kijowie. Karolina, córka bogatego ziemianina z Worocłanów na Ukrainie wyszła w roku 1836 za

mąż za Mikołaja księcia Sayn-Wittgensteina, oficera carskiego, syna rosyjskiego feldmarszałka. Małżeństwo to rozpadło się wkrótce. Mąż, lekkoduch i hulaka uchodził za człowieka, który z Karoliną ożenił się dla jej majątku. Toteż gdy Liszt poznał ją, mieszkała ona sama w Worocłanach, zarządzając majątkiem, pozostałym w spadku po ojcu. Inteligentna i oczytana, oczarowana sławą i powodzeniem Liszta, zakochuje się w nim i wkrótce oboje są w Weimarze, gdzie Liszt zostaje kapelmistrzem wielkiego księcia weimarskiego, Karolina, która sprzedała część dóbr i wywozila z sobą z Ukrainy milion rubli, stara się teraz intensywnie o rozwód, aby wyjść za mąż za Liszta. Wieloletnie wysiłki księżnej nie przynoszą upragnionego dla niej rezultatu. Karolina nigdy rozwodu nie dostała.

Po roku 1848 w twórczości Liszta pojawia się nowy styl. Wiąże się on być może z zmianą przez niego stylu życia. Zbliżając się do czterdziestki kompozytor oznajmił, że mógłby lepiej niż dotąd spędzać swój czas. Zrywa teraz z zawodem — jak to określał — bliźnią i salonowego wesolka”. Wycofuje się z uroczystych przyjęć i bankietów, przestaje koncertować w wielkich halach muzycznych. W jego twórczości zanika dawne zamilowanie do błyskotliwości i bombastyczności. Lew salonowy przemienia się w duchownego. Ferené Liszt w roku 1865 przyjmuje niższe święcenia kapłańskie. Coraz częściej

teraz w ciszy, czasem jest to cęła zakonna w Rzymie, innym razem arystokratyczny buduar, tworzy śmiało i nowatorskie kompozycje. Tak staje się „pra-ojcem niemal wszystkiego co służy rozwojowi w dziedzinie muzyki” — jak to stwierdził włoski kompozytor Ferruccio Busoni (1866—1924).

W „Czardas Macabre” odnajdą dzisiejsi teoretycy i znawcy muzyki podobne elementy stylu jak później w utworach Beli Bartoka. Utwór na fortepian „Nuages Gris” przypomina niektóre utwory Claude Debussy'ego, a kompozycja „Smutna gondola” nasuwa analogie z twórczością zmarłego w roku 1951 Arnolda Schönberga.

Obecnie — jak o tym dość obszernie informuje hamburski tygodnik „Der Spiegel” — muzyka Franciszka Liszta przeżywa swój triumfalny renesans.

„Wiele z najbardziej śmiałych zdobyczy dzisiejszej muzyki zrodziło się na kartach pisanych przez Liszta” — powie René Leibowitz kompozytor, teoretyk i dyrygent, popularyzator muzyki dodekafonicznej we Francji. Francuski dyrygent iawangardowy muzyk Pierre Boulez utworami Liszta rozpoczął swój sezon muzyczny jako szef nowojorskiej Filharmonii. Chilijski pianista Claudio Arrau stwierdza swoisty renesans twórczości Liszta w USA, do swoich koncertów włączając wiele utworów tego kompozytora. Sporo z nich nagral już na płytach Holenderski dyrygent Bernhard Haitink na-

grał cykl symfonicznych utworów Liszta po raz pierwszy na płytach stereo, a amerykański muzyk organowy Daniel Chorzempa dał dwa recitale tego kompozytora, występując w Rotterdamie. Jedną z zachodnich firm produkujących płyty sprowadza ze Związku Radzieckiego nagranie przez muzyków moskiewskiego Teatru Wielkiego „Symfonii” Dante Liszta, zaś firma w Kassel „Disco-Center” otrzymała od węgierskiego państwowego wydawnictwa płytowego „Qualiton” nowe nagrania wielu utworów Liszta.

I wreszcie prawdziwa sensacja i rewelacja dla melomanów — oto wydawnictwo Bärenreiter-Verlag w Kassel i „Edito Musica” w Budapeszcie przytują do druku, jak się przewiduje, 77 tomów zawierających 12.000 stron nut kompozycji Liszta. Będą to dzieła wszystkie, łącznie z dotąd niepublikowanymi. Byłoby to pierwsze pełne i krytyczne wydanie dzieł muzycznych Franciszka Liszta.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ



BOLESŁAW HOCHLINGER — „Nabrzeże portowe Westerplatte” (olej)

PRZECIEŻNOŚĆ

SPRAWY HISTORYKÓW

Ukierunkowania badawcze poszczególnych ośrodków naukowych są tylko w pewnej mierze prywatną sprawą działających w nich badaczy. Oczywiście nie sposób sobie wyobrazić sytuacji, aby uczone mogli prowadzić jakiegokolwiek ambitne badania z pasją i poświęceniem, które nie fascynowałyby go również „prywatnie”, bowiem żadnej twórczości nie dokonuje się na siłę i wbrew sobie samemu. Ale chodzi o to, aby indywidualne zainteresowania i osobiste pasje znalazły swoją konkretyzację w problematyce rzeczywiście ważkiej, takiej, która będąc „prywatną” dla wielu badaczy jest jednocześnie oczkiem w głowie kolektywów naukowych, ośrodków badawczych, konkurujących ze sobą szkol naukowych.

Sledząc od wielu lat narastającą literaturę z zakresu dziejów polskiej klasy robotniczej z pewnym niepokojem obserwowałem zjawisko nieobecności, a przynajmniej nikłej obecności w tych pracach badaczy łódzkich. Nie o badaczy mi zresztą tu chodzi i nie myślę się wtrącać do prywatnych warsztatów poszczególnych historyków, ile o sprawę większą, o niedosta-

teczną obecność problematyki łódzkiej w ogólnopolskich badaniach nad dziejami klasy robotniczej, niedostateczną zwłaszcza w porównaniu z tym, co powiedziano już o innych ośrodkach przemysłowych, niejednokrotnie znacznie mniejszych niż łódzki.

Niepokój mój zdaje się o tyle uzasadniony, że wiadomo o daleko zaawansowanym pracach nad przygotowaniem monumentalnej syntezy dziejów klasy robotniczej, nad którą pracuje pełną parą zespół kierowany przez Stanisława Kalańskiego. Nieobecność zagadnień łódzkich w badaniach wstępnych, poprzedzających syntezę, w pracach przygotowawczych, wiedzy bowiem nieuchronnie do ich nieobecności bądź niedostatecznej obecności w przyszłej syntezie, a to już nie jest sprawą błahą.

Rozumiem, że badania, o których mowa, są żmudne, często nieefektywne, w porównaniu np. ze studiami nad wielkimi ruchami społecznymi i politycznymi, w rodzaju Rewolucji 1905 r. Są jednak konieczne, właśnie dla zrozumienia istoty ruchów społecznych, w tym także ruchu robotniczego, jego zróżnicowania i specy-

fiki w poszczególnych ośrodkach naszego kraju. Bowiem nie można problematyki ruchu robotniczego stawiać — jak to zbyt często dotąd czyniono — na głowie, odrywając ją od całości dziejów klasy robotniczej, od jej struktury i dynamiki. Historia ruchu robotniczego nie może być bowiem uprawiana tak, jak to robili źli badacze, mianowicie jako dzieje jakiegoś przedziwnego krążenia elit i wydaje się, że tylekroć powtarzane, tylekroć zaś zresztą wymijane w praktyce badawczej dyrektywy materializmu historycznego, zwracające uwagę na konieczność integralnego oglądu badanych zjawisk w szerokim społecznym kontekście, warte byłoby czasem przypomnienia. Nikomu nie wyjdzie to na złość.

Nie mogę powiedzieć, że mój niepokój ustąpił miejsca uczuciu zadowolenia, kiedy zobaczyłem, że w najnowszym, trzecim już tomie kapitalnego wydawnictwa „Polska klasa robotnicza” (1972) znalazłem kilka studiów historycznych, odnoszących się do ośrodka łódzkiego. Rzeczywiście, tematyka łódzka jest tym razem wcale nieźle reprezentowana, co mogłoby napawać optymizmem i wskazuje, że zagadnienia dziejów klasy robotniczej znajdują się na warsztacie gro- nad badaczy, które aczkolwiek niezbyt liczne, może się pochwalić interesującymi rezultatami. Jest przy tym charakterystyczne, że do zagadnień łódzkich sięgnęli także uczeni, których związek z naszym miastem

ogranicza się jedynie do sfery badań historycznych. Problematyka łódzka zjawia się w trzecim tomie „Polskiej klasy robotniczej” w różnych aspektach. Z ciekawością wyczytuję się w bogaty w treść, opatrzone chyba zbyt skromnym tytułem, artykuł W. Zajęczkowskiej o położeniu rzemieślników w Łodzi w połowie XIX w., śledząc rozważania K. Groniowskiego o udziale robotników z okręgu łódzkiego w emigracyjnej gorączce brazylijskiej w 1890 r., przeglądam studium L. Mroczki o placach robotniczych w łódzkim przemyśle włókienniczym w początkach międzywojennego dwudziestolecia i pracę T. Bojanowskiego o placach i warunkach pracy robotników polskich w fabryce „I. K. Poznański” w okresie okupacji hitlerowskiej.

Ale niepokój mój nie opuszcza, a to również dlatego, że w pracach dotyczących tematyki łódzkiej w bardzo, bardzo niewielkim stopniu mogę dojrzeć słabutkie echa owego ogromnego przełomu metodologicznego, jakiego świadectwem są dziś nowatorskie pod względem swego ujęcia prace z dziejów klasy robotniczej, dotyczące innych ośrodków przemysłowych. Czas opisywania w nowocześnie pojętej historii społecznej dawno się skończył, nadeszła epoka badania struktury zjawisk społecznych i ich dynamiki. Nie dam się łapać za słówka i nikt nie wrobi mnie w ślepe hołdowanie strukturalizmowi, do którego też nikt nie namawiam. Ale chodzi mi o to, że wiodąca,



nowoczesna problematyka, jaką jest dla współczesnej nauki historycznej najszerzej rozumiana problematyka dziejów klasy robotniczej, która w naszych warunkach ustrojowych ma jak się zdaje szczególnie doniosłe znaczenie, problematyka ta wymaga nowoczes-

nych, jeżeli nie wręcz nowatorskich narzędzi badawczych, wymaga metodologicznego wyprzedzenia, którego w czytanych przeze mnie pracach po prostu nie dostrzegam.

LEKTOR

Zdarzenia i Zdarzenia

RAPTULARZ KARYKATURYSTY

Nie zdyscyplinowane anioły stracono do piekieł i tak się narodził klan diabelski. I właśnie złośliwe diabły wymyśliły tzw. krzywe zwierciadło. Twarze w nim odbite wyglądały jak ohydne gęby o ogromnych nosach, śmiesznie wykrzywionych ustach, sterczących do góry włosach. Niestety — lustro się rozbiło, ze szczątków powstał pył lustrzany, krążący do dziś w kosmosie. Czasem odłamek owego lustra wpada do oka nowo narodzonego dziecka. Z takiego malca wyrasta karykaturzysta...

W ten to prosty sposób Stanisław Ibis-Gratkowski tłumaczy rodowód swojej profesji i swojej książki „Piórkiem Ibisa”. Dotychczas Gratkowski był współautorem wielu książek jako twórca okładek. Ta książka jest jego pierwszą całkowicie własną, chciałoby się rzec — osobistą, choć mało mówi o autorze, a więcej o blisko osiemdziesięciu ludziach związanych z Łodzią. Pozornie jest to album karykatur. Ale przecież w tej książce spisał Ibis także swoje wspomnienia, zanotował anegdotki, opowiedział

sporo o mieście i jego ludziach... Nie tylko piórkiem, ale także długopisem. Jest to więc nie tylko album karykatur, co po prostu raptularz karykaturzysty. Jeśli Gratkowski rysuje na przykład karykaturę Benona Liberskiego, to dodaje do niej premię w postaci anegdotki: „Na wernisazu pewnego marjaża Benon Liberski powiedział, że jest to wystawa o międzynarodowym znaczeniu: farby holenderskie, pędzle angielskie, maniera francuska i malarz polski”. Jeśli rysuje karykaturę Jadwigi Chojnackiej, dziś znanej głównie jako Dominikowa w „Chłopach”, przypomniał, że była dyrektorem Teatru Powszechnego oraz „spośród ról, jakie kreowała w powojennym repertuarze, za najbardziej polską uważała... rolę naczelnika Wydziału Kultury Zarządu Miejskiego w Łodzi”. Tradycja ta przetrwała. Historyjki i wspomnienia, spisane przez Gratkowskiego na marginesie rysowanych portretów, sprawiają, że ta

książka jest nie tylko albumem karykatur, ale także dokumentem łódzkiej historii. A w ogóle jest to bibliofilski „biały kruk” już w samym momencie wydania. Pol'zmy bowiem. Karykatury jest w książce osiemdziesiąt. Przepuszczam, że każdy z portretowanych zakupi co najmniej 20 egzemplarzy, aby mieć na pamiątkę, aby ofiarować przyjaciołom i bliskim. Wykonując prosty rachunek mnożenia otrzymamy liczbę 1.600 egzemplarzy. Do bibliotek, redakcji itp. trafi co najmniej 200 egzemplarzy. Razem 1.800. Pozostałe dwieście egzemplarzy książki Ibis-Gratkowskiego trafi do księgarń. Tak jest! Bowiem nakład wynosi tylko 2 tysiące egzemplarzy! Nikt mi więc nie zarzuci, że robię reklamę książce kolegi, bowiem jest to już książka praktycznie nie do kupienia. Ale myślę, że warto o tego rodzaju publikacjach pisać — nawet jeśli ich czytelniczy rezonans

ma zasięg niewielki. Bowiem w sumie, po latach, te niskonakładowe książki, te ulotne anegdotki, wspomnienia, rysunki — tworzą zapis klimatu, atmosfery, mówią o tym mieście, o ludziach tu działających, w sposób bezpośredni i bardzo osobisty. „Pewnego razu — pisze Gratkowski — mój przyjaciel oświadczył, że jest w posiadaniu kartki, dzięki której będziemy mogli obejrzeć bezpłatnie „Krakowiaków i górali” w teatrze na Cegielińskiej. Była to owa słynna inscenizacja Leona Schillera, która od czasu B. Isławskiego nie miała sobie równej i która zapoczątkowała „epokę schillerowską” w życiu teatralnym Łodzi...” Owa karta, o której pisze Gratkowski, zawierała autograf wielkiego reżysera. „Teatr na Cegielińskiej”, ówczesny Teatr Wojska Polskiego, dzisiejszy Teatr im. Jaracza — przeszedł do historii teatru w Polsce, tak, jak jego dyrektor i jego

słynne inscenizacje. To jest ta „wielka historia”, wyzieraająca zza notatek Gratkowskiego. Ale jest tam przecież „mała historia”, zapis zdarzeń osobistych, drobnych, jak owa kartka z notosu, jak to, że Lidia Zamkow i Włodzimierz Skoczyłaś debutowali w tym samym czasie w muscietowskiej komedii, wystawionej przez studentów szkoły aktorskiej... Jak ostatni, tragiczny bardzo znak łódzki Józefa Węgrzyna, między teatrem a „Cyganiarią”... Jak atmosfera (czy raczej atmosfera) słynnej „Honoratki”. To są wszystkie bardzo wciągające i ciekawe sprawy tak jakoś mimochodem zanotowane przez Gratkowskiego na marginesie karykatur. I te właśnie notatki dają książce klimat i jakieś osobiste ciepło.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

NIESKOORDYNOWANE BUTELKI

Dowcipni meżowie powiadają, że wcale nie jest trudno ugotować obiad, tyle że czasem trudno go później zjeść. Można by rozszerzyć tę maksymę na całą sferę produkcji i obrotu, bo przecież faktem jest, że często znacznie łatwiej wyprodukować jakiś towar niż dostarczyć go w porę i we właściwym stanie do miejsca spożycia. Oczywiście, chodzić tu będzie o opakowania. Skoro właśnie naszemu Ministerstwu Przemysłu Spożywczego i Skupu powierzono

powołanie centrum koordynacyjnego dla spraw związanych z opakowaniami artykułów żywnościowych w skali RWPG, to czy możemy już zasnąć w błogim przesądzeniu, żeśmy wyprzedzili naszych przyjaciół na — za przeproszeniem — odcięciu opakowań? Czyżmy się w tych sprawach szczególnie wyróżniliśmy? W mojej kuchni leży już pół tuzina przeróżnych otwieraczy do puszek. Nie wiem, ile ich trzeba mieć żeby do każdej puski coś pa-

sowało i żeby do każdej można się było wreszcie dobrać. To są ciężkie katorżne roboty. Trzy anemiczne szprotki w sosie katalońskim czy też pięć deko pasztetu z drobiu, który przed zapakowaniem był kiszka pasztetową wcale nie z drobiu, zamyka się w pancerznych, wstrząs- i uderzeni- odpornych metalowych kaszkach, jak najcenniejsze skarby. Dotarcie do wnętrza takiej kaszki udaje się przeważnie dopiero przy użyciu sztamaży i młota, tylko że wtedy zawartość puszek zbiera się z czoła i z sufitu, nie mówiąc o elanowych spodniach nasiąkających błyskawicznie oliwą. Czytałem o niezwykle zmyślnie maszynie z importu, zakładającej metalowe kapsle na butelki z sokami warzywnymi. Maszyna była zmyślna, ale też i chimeryczna: kapslowała tylko butelki o identycznej średnicy szyjki. Przy szyjce o ułamek milimetra innej zaczynała warczeć a nawet złośliwie wysiadała, powodując prze-

stoje i interwencje. Ale inna maszyna, ta produkująca butelki, była nasza rodzima, więc na dokładność jej nie zależało i każda szyjka wychodziła inna. Więc co się robi? Sadza się gromadę kobiet z suwakami, które każdą butelkę biorą do ręki i mierzą grubość szyjki. Postęp fantastyczny! A i tak — jak słyszę — nasze soki i inne rzeczy nie wytrzymują konkurencji na rynkach zagranicznych tylko dlatego, że nalewamy je do zbyt ciężkich fiach. Za przewóz płaci się od tony, nie od smaku. Nikt nie chce płacić miliona za przewóz tysięcy ton zbędnego i nie najlepszego szkliwa, po to żeby tyknąć soku za grosze. Nie, nie jest wcale za dobre w opakowaniowym fachu. W Lublinie żyje sobie jakiś kolekcjoner, zbierający etykiety od serów z całego świata. Ma tych etykiet około dwóch tysięcy, z czego małą część stanowią nalepki od serów krajowych. W tej małej części dużą część, bo aż piętnaście sztuk,

stanowią etykiety z błędami ortograficznymi. Sam miałem ochotę kolekcjonować etykiety z błędami, nie tylko te od sera. Błędy są wszędzie, w każdej branży. Filateliści wysoko cenią przedruki: na przykład znaczek za 60 groszy przestemplowany nadrukiem „1 zł 50 gr”. Widziałem już etykietę z wielkim napisem „Szparagi” a nad nią małą etykietę przedruk: „Ćwikla”. W środku słoika zaś była przyprowa do zup. Może napisy były inne, ale fakt, że nie się z niczym nie zgadzało! Brzegi słoika przy zdjęciu wianu wieczka z dwumilimetrowej blachy kruszą się i potem szkło trzeszczy człowiekowi w zębach. Ale to nie, dobrze i tak, że ma się zęby. Nie narzekajmy też na nadmierną grubość i odporność blachy w puszkach konserwowych. Za to tektura w pudełkach z makaronem jest słabutka i wermiszel miesza się naszym żonom w stylonowych torbach z wędzonym piklingiem, do którego w ogóle nie dodaje

się papieru, lub najwyżej tyle, żeby rybę w pasie przewiązać. Jak widzimy — koordynacja jest tu niezmiernie potrzebna. Skoordinujmy soki z butelkami, otwieracze z kapslami. Kiedy Amerykanie kupili u nas buty — kazali je pakować do 16 par w kartonie. Głupia liczba, wywraca cały dziesięciokowy system, zmusza do produkcji specjalnych, nie znormalizowanych kartonów, utrudnia liczenie, ewidencję, sortyment wielkościowy. Tak, tak, ale karton z dziesięcioma parami waży 12 kg, a tragarze w nowojorskim porcie mają stawkę od sztuki do 20 kg, więc za tę samą stawkę niech lepiej noszą 16 par zamiast dziesięciu. Amerykanom to się oplać, chociaż trudniej potem zrobić sprawozdanie. Nam by się też niejedno oplać, tyle że tak trudno zacząć!

CWIEK